



BIBLIOTEKA MRÓWKI T. 54.

JULJUSZ SŁOWACKI.

POEMA PIASTA DANTYSZKA
HERBU LELIWA.

O PIEKLE.

20 ct.

LWÓW.
KSIĘGARNIA POLSKA.
A. D. BARTOSZEWICZA I M. BIERNACKIEGO.

! Związkowa Drukarnia we Lwowie, Hotel Żorża.

BIBLIOTEKA MRÓWKI

wydawana nakładem

KSIEGARNI POLSKIEJ

we Lwowie, 14. Plac Halicki 14.

Już wyszły z druku:

1. *Woronicz. Sybilla*
2. *Syrokomla. Janko cmentarnik*
3. *Kraszewski. Ostap Bondarczuk (wyczerpane).*
4. *Słowacki J. Kordjan*
5. *Krański Z. Przedświt*
6. *Plug Adam. Srocza (wyczerpane).*
7. *Jeż T. T. Asan, oprawne*
8. *Wołowski Ludwik. Praca dzieci (wyczerpane.)*
9. *Mazurkiewicz. Demokracja polska*
10. *Goszczyński. Król zamczyska*
11. *Skiba, Kanarki, powieść, oprawna*
12. *Słowacki. Mindowe*
13. *Syrokomla. Ułas*
14. 15. *Kochanowski. Pieśni*
16. *Wernicki. Prześladowanie kościoła unickiego*
17. *Nałęcz. Renegat, powieść*
18. *Puzynina. Jadwiga, dramat*
19. *Syrokomla. Kęs chleba*
20. *Żeligowski, Jordan*
21. 22. *Czajkowski. Wernyhora, (wyczerpane)*
23. *Plug Adam. Przyjaciele*
24. *Piotrowski ks. Okólnik o gwałtach moskiewskich*
25. *Skiba. Kwiat z Sumatry, powieść humorystyczna.*
26. *Słowacki J. Ojciec zadżumionych. W Szwajcarji.*
27. *Zmorski Roman. Lesław*
28. *Sawaszkiwicz L. L. Porównanie wypraw na M
skwę Napoleona I. i Żółkiewskiego*
29. *Brodziński K. Wiesław, sielanka krakowska*

BIBLIOTEKA MRÓWKI T. 54.

JULIUSZ SŁOWACKI.

P O E M A

FIASTA DANTYSZKA

HERBU LEŁIWA

O P I E K L E.



LWÓW.

KSIĘGARNIA POLSKA.

1878.



77265

OFIAROWANIE.

U nóg twych kładę: O! żałosna wdowo
Polskiego ludu! O! Matko w żałobie
Tych co śpią w krwawym pochowani grobie,
I tych — co wierzą że wstaniesz na nowo;

O! ty gotowa twą krew Chrystusową,
Rzucić na twarze wątpiace i blade,
Warszawo! tę pieśń ci pod nogi kładę,
I nóg skrwawionych twoich sięgam głową.

Bo ja niewierzę żebyś ty się zlekła
Carskiego czoła i carskich rycerzy:
A gdy mówiono żeś przed nim uklękła,
Tom był jak człowiek gdy grom weń uderzy;
Potem schyliwszy czoło zamyśłone
Rzekłem: żeś klekła ty po tę koronę,
Co spadła z głowy, i u nóg ci leży.

Usiadł na grobie, gdzie jasne motyle
Okolo róż się kręciły grobowych;
Poprawił wąsa, i wylotów płowych,
I rzekł: pięcioro mam dzieci w mogile,
A zaś ostatni, węzowego płodu,
Syn mój ostatni jest zdrajcą narodu.
To mi włos siwy cały się wypręża,
I drży i wstaje z głowy dębem węża;
Kiedy pomyślę jak mi się zdradziecko
Ostatnie moje pohańbiło dziecko.
Lecz niech tak będzie! Pana Boga wola!
Kontusz wytarty, szabla, i niedola,
I czapka krzywo zatknięta na głowie,
I moi gdzieś tam w mogiłach synowie:
Z tym ja mój panie jak królowie dumny,
Krzyż zrobię święty i pójdę do trumny.
A biada temu pod kim się usunie
Mogiła moja i ziemia na trunie!
A biada, jeśli mój syn zdrajca stąpi
Na ten grobowiec, bo się rozestąpi,
Bo zeń czerwone płomienie wybuchną:
Bo nań wyskoczy, mój trup, moje pruchno,
I kasać będzie, robactwem oblizie
Aż go zje, aż go zdusi, aż zagryzie.

Patrzaj ty na mnie: ot taki jak jestem
 Widziałem Boskich na oczy aniołów;
 Ot taki nędzarz, brudny od popiołów,
 Obmyty krwawym narodowym chrzestem,
 Nie mogąc przeżyć bez pociech do zgonu
 Poszedłem sobie na górę Syonu,
 Cokolwiek duszy ulżyć płaczem zdrowym,
 Na zakrwawionym grobie Chrystusowym;
 Za moje martwe syny się pomodlić,
 A tego przekląć co się ważył spodlić:
 Za tych co zabił tyran i zabija
 Zmówić na grobie trzy. *Ave Maria*;
 Na te mogiły gdzie leżą krwawemi
 Jerozolimskiej przynieść trochę ziemi,
 I grobowiec ich cichy, nieszczęśliwy,
 Posypać liściem srebrzystej oliwy,
 Która Chrystusa uroszona łzami
 Wyrosła drzewem litości nad nami.
 I cóż! przebiegłem błękitne żywioły,

Ot w tym żupanie, i z tą szablą rdzawą.
 A jak turecki jaki święty, goły:

A śpiąc pod żaglem, albo gdzie pod ławą.
 I patrz jak podróż starszuskowi służy!
 Wróciłem sobie jak żóraw z podróży,
 Wichry mi trochę podszarzały skrzydeł,
 Mój kontusz teraz nie do malowideł:
 Przez pas wychodzą moje chude kłęby.
 Szabla na skałach wyszczerbiona w zęby,

Lecz chociaż sobie wygląda jak chrobra
 Byleby wojna, patrz! co? jeszcze dobra!
 Jeszcze jak niebo ma łono błękitne —
 A jak nią świsnę! jak po czaszkach zgrzytnę!
 Dalibóg! nie dam grać po nosie sobie!
 Bom to zaprzysiągł na Chrystusa grobie.

Ale do rzeczy Mości Dobrodziuju!

Tu mówią w karczmie i po domach plotą,
 Żem się ja zapił aż na śmierć zgryzotą:
 Że tracę nawet tę trochę oleju
 Którą ma z łaski Bożej twór człowieczy,
 I roje sobie niestworzone rzeczy.
 Mówią że sztuką jakąś, może djabłą,
 Zaszedłem w piekle dzwonić moją szablą:
 Że mi się trochę opaliła dusza,
 Żem sobie nawet podsmalił kontusza:
 Że mi skra padła na gołą łysinę
 I wypaliła tajemniczą dziurę,
 Zkąd, kiedy piję, to wypuszczam chmurę.
 A nawet, mówią, iskry wielkie, sine, —
 Bogdajby djabeł oniemiał fałszerze!
 Ja w Pana Boga i w Chrystusa wierzę,
 I co dnia mówię z kogutem pacierze.
 A kto obelży mojej duszy sławę,
 Z tym ja mieć będę żelazną rozprawę.

A postaw tu dzban, jak gwiazdy zaświecą,
 Ujrysz czy z mojej łysiny skry lecą?
 A jeśli lecą, to dobrze, nie pusta,
 Więc pożar łatwo mi zalać przez usta;
 A jeśli zatkam tę łysinę ręką
 Skry sobie będą wychodziły szczęką.
 A ludzie niech się sami siebie strzegą!
 A że ja palę się — Co im do tego?
 Otoż tak dobrze! — dzban przyniosłeś winą.

Postaw tu panie—tu—na tej mogile;
 Niech trup zazdrości że ludziom godzina

Uleci sobie jak złote motyle.
 Bo cóż? — my także grobów kandydacy!
 A kto jak ja żył, lelijowe kwiaty
 Mieć będzie kiedyś i polane rosą,
 I drzewa gdzie się słowikowie niosą;
 I tak śpiewają i z taką rozpaczą,
 Że aż tam brzozy na kurhanach płaczą

Brr!... Coś mi panie teraz w oczach widno.

Słuchaj! — Raz, jednej nocy, bez księżycy,
 Widziałem Panie rzecz strasznie ohydną —

Lecz nie mów o tem, bo to tajemnica,
 Bo jakby na mnie to poczuli księża,
 Gotowi wygnać z kościoła jak węża;
 A nie wie o tem ani gwiazdek para,
 Ani syn zdrajca, ani matka stara,
 Co jeszcze żyje gdzieś nad wodą Niemna.

I kołowrotek swój obraca, ciemna.
 Biedaczka, nie wie dotychczas o niczem —
 Nawet że tamci pomarli synowie;
 Bo kiedy ręką mię maca po głowie
 To ja się różnym przerabiam obliczem,
 Udaję różny głos, i różne twarze;
 A potem ślepej odgadywać każe
 Który z jej synów stoi przy niej blisko,
 I zawsze inne powiada nazwisko;
 Myśląc biedaczka że przy niej są bliscy
 Synowie zdrowi i żywi i wszyscy —
 A Bóg im dawno na niebiosach świeci
 A stara zamrze, to tam znajdzie dzieci!

Lecz to nie o tem mowa mości panie!
 Raz kiedy była tu cisza ponura,
 A ja siedziałem spokojny przy dzbanie,
 A nad sosnami temi była chmura
 Rozrzucająca okropną ciemnotę,
 A tam wisiało pod nią słońce złote,
 A ja tak z czapką na bakier na głowie —
 Mój mości panie — dwaj mię aniołowie
 Przyszli powitać, mówiąc: panie Piaście!
 Zadziwiłem się i rzekłem: zkąd waście,
 Których ja nigdy znać nie miałem w zysku,
 Wiedzą o moim rodzie i nazwisku?
 Tak mówiąc, byłem w djabelnym kłopotcie,

A do mnie piękne te figury w złocie:
Nie bój się! Boga jesteśmy posłami:
A jeśli zechcesz przelecieć się z nami
Przez te ogromne, szafirowe pola,
To z twoją wolą jest i Boga wola.
Tak mi mówili; a ja panie rzeźwy
Wstałem: dalibóg! dziś przysięgam trzeźwy,
I w dłonie klaszcząc jak dziecina klaska;
Rzekłem; panowie jaśni! jeśli łaska
Dajcie mi widzieć tych co w piekle gorą,
A potem moich dziateczek pięcioro,
A potem jeszcze gdzieś na tamtym świecie—
O kim ja mówić chcę zapewne wiecie? —
Więc jeśli wola jest Jehowy na to
Niech będę z temi, co już poszli dawno,
I włożeni są w ziemię lodowatą. —
A gdy mówiłem tak, było mi jawno
Ze prośbę moją napróżno zanoszę,
I że nie robią święci o co proszę.
Aż tu mój panie nad podziw, ci złoci
Biorą mi nakształt zerwanej stokroci,
Biorą, i prosto w tęczę złotowłosa,
Na ciemną chmurę, nad sosnami niosą:
I bez żadnego szelestu i dźwięku
Niosą szlachcica w niebo, z dzbanem w ręku.
A ja z nad chmury upuściłem dzbana,
I potem się aż dowiedziałem w siole
Że upadł z nieba, na ksiedza plebana,

I wybił mu jak talar guz na czole,
I zostawił mu siniec w upominku:
Pożałowałem dzbana i uczynku.

A to więc panie mój były nie żarty!
Na złotych skrzydłach jak król rospostarty
Lecę, a tęcza co wisi na chmurach,
Świeci jak brylant na kontusza dziurach:
A gwiazdy żółte, różowe i sine,
Sypią się deszczem na moją łysinę:
A księżyc blisko przybiega i staje,
I widzę srebrne rzeki, srebrne gaje,
Góry, o góry zaczępilem pałasz —
A dotąd nie chce wierzyć pan bakalarz,
Choć mu po stokroć na honor mówiłem
Gdy księżyc świeci w mgle — że ja tam byłem.

I tak mię niesli Boscy aniołowie:
A ja siedziałem jednemu na głowie
Puszczając dumą jak paw na folwarku;
Nogi zaś moje drugi niósł na karku,
Anielik mały jak różyczka młody,
I nogi moje dźwigał jak dwie kłody.
A takie były te aniołki skoczne.

I takie zwinne, że nie oni sami
Alem ja zaczął prosić się ze łzami,
Niech sobie stary na chwilę wypoczne;

Bo mi już kości trzeszczą jak łuczywo,
I w gwiazd mi żywych towarzystwie ckliwo.
I zaręczam ci na honor szlachcica

Że postawili mię na dwóch podkówkach,
Na samym środku srebrnego księżycy;

I na różanych mię oparli główkach;
A ogień zaczął mi iść przez łysinę —
Jeżeli kłamię panie! to niech zginę!
Ogień wybuchał przez kości i skórę,
I z księżycy szedł jak kolumna w górę.

A stąd urosło o mnie to przysłowie
Żem się wypalił na księżycu w głowie.

Ale w tym panie! prawdy ani trocha!
Kto pałasz kocha i ojczyznę kocha?

Choćby się palił dla niej przez dwa wieki,
I gdzieś jak żóraw odleciał daleki,
I gdzieś przez lat sto wędniał od rozpacz;
To jak swą szablę i swój kraj zobaczy,
To jak usłyszysz że krzyczą do broni;

Przed panem Bogiem się tylko ukloni,
A potem ludziom odpowie na hasło,
Że miecz nie ściemniał i serce nie zgasło.

To i mnie widzisz że jeszcze gotowy —

Choć mi czuć dawno już wilgoć cmentarza,
I zapach trumny nozdrze już obraża.

Zapach posepny, smutny i cedrowy —

To chociaż czuję że przez bliskie rżysko,
Leci koń śmierci i leci i tetni,

I już nadbiega z próżnem siodłem blisko:
Nim wskoczę, biada! kto mi się nawinie!

Biada! kto moją ojczyznę zasmętni!

Bo nim łza po mnie — to wprzód krew popłynie.

O! wy nie wiecie co się w sercu złoży

Zemsty i bolu nim się grób otworzy?

O! wy nie wiecie ile dusza dzika

W jeden cios szabli na przyszłość zamyka?

Wiele modlitew o zgon ludzki kładnie?

Aż z takim ciosem pierwsza głowa spadnie!

To może wtenczas gdy ją w piasek rzuci.

Do Pana Boga i modlitwy wróci,

I spokojniejsza sądów Boskich czeka

Ubrana w jasną szatę, w krew człowieka —

Ale to maryl! to są maryl krasne!

Ja potępiony, niezemszczony zasnę.

Z sercem na zemstę tak długo upartem,

Ludzie zostawia śpiącego w kurhanie;

Śpiącego starca, w kontuszu wytartym;

I tak na wieki będzie, tak mospanie!

Przybędzie tylko ku kraju ozdobie,

Jeden grób więcej, i starzec w tym grobie.

A słowiki mu chór żałości utną. —

I cóż? — Na księżyc wróćmy bo mi smutno.

Otoż jak mówię! — Hej! dolej mi szklanki!

Gardło jak suche to gra jak w multanki:

A tu mi trzeba o piekielnym dziwie

Jak psu po nocy, zaszczezać chrapliwie.
 Idę przez księżyc złocisty i szary,
 I napotykam trzy okropne mary.
 Przy ogniu trójka siedziała spokojna
 Około ognia, Głód, Dżuma i Wojna
 Siedziały cicho i w kotle warzyły
 Trupy z wczorajszej wyjęte mogiły.
 Widząc te rzeczy w lodowatej strefie,
 Krzyknąłem: Jezu, Marjo, Józefie,
 A pocieszywszy się modlitwą skrytą,
 Rzucam się na nie z szablą dobytą;
 Rzucam się wściekły; jak tnę bogobojnie
 Uciąłem prawe ucho pani wojnie;
 A Głód je chwycił, i gębę rozdziawił,
 Połknął uszeczek siostrzycy i strawił,
 I w kocioł je wnet rzucił z drugiej strony.
 Stałem i wasa kręciłem zdziwiony —
 Myślę co robić? A djabli to wiedzą?
 Co utnę szablą to połkną i zjedzą.
 Twarz mi się zgrozą stała trochę blada.
 Bo panie! sprawa z djablami nie lada!
 I przemyślałem więc *Summarum summa*
 Co robić? Aż tu do mnie pani Dżuma:
 Nie jendycz się tak krzyknęła: szlachcieu!
 Na srebrnej ziemi, na zimnym księżycu,
 I nie bądź takim przeraźliwym Serbem;
 Wszak ty Leliwę księżyc, miałeś herbem?
 Więc może ciebie nie bardzo rozbestwie

Prosząc na ucztę, w twem własnem królestwie;
 Siadaj przy kotle i powąchaj woni
 A potem proszę jedz — bez ceremonii.
 Na takie *dictum*, choć przysięgam jeszcze.
 Djabelne jakieś szły po skórze dreszcze,
 Zbliżam się — z kotła idzie krwawa para,
 Wonna — myślałem że gotują Cara
 Lub inną jaką potępioną liszkę;
 Zazieram — krwawy war — proszę o łyżkę —
 Dają mi, wielka jak łopata, sina,
 Dobywam z kotła coś — to głowa syna!
 Struchlałem! syna mojego główinka!
 Błada i krwawa; oczki otworzone,
 Usteczka jeszcze jak róże czerwone,
 'Twarz, oczki mego najmłodszego synka!
 Patrzy się na mnie, żółciutki jak woski;
 I tak trzymałem go za złote włoski,
 I nie wiedziałem wyć, płakać, czy szczekać?
 Aż widmom z oczu krew zaczęła ściekać,
 I rozplakały się krzycząc: szlachciuro!
 Nam samym smutnie, zimno i ponuro.
 I drżą wnętrzności jak żywoty matek
 Słuchając jak ty płaczesz twoich dzieciak:
 A nie obwiniaj nas! bo my bez plamy!
 My je od ojca kochanego mamy,
 On je tam łowi gdzieś w krwawym potoku.
 I w morzu płaczów: i nam tu co roku
 Przysyła takich głów tysiące darem;

Ojciec co karmi tak, zowie się Carem;
 A my kochamy go, bo dla nas dobry.
 Mówiły: a ja płakałem jak bobry.
 I płacząc kocioł mieszałem aż do dna;
 Więc najstarszego syna głowa chłodna,
 I główka tego co był w rodzie średni,
 I pięcioro ich — wszyscy moi biedni! —
 Wszystko pięcioro głów z kotła dobyłem,
 I nie płakałem już po nich — lecz wyłem.
 I tak mi wyschły źrenice rozpaczą
 Że zawstydzwały mię widma co płaczą.
 Jakby martwica co po piekle hasa,
 Wiążę te głowy trupeczków do pasa;
 Tak przywiązuję, tu za włoski złote,
 Pod samem sercem najmłodszą sierotę;
 A tu wąsatą twarz syna ułana,
 A tutaj trzecia, czwarta przywiązana,
 A piąta wisi tuż przy rękojęści:
 I tak z wszystkiemi pięcią — o boleści —
 Aż na te widma zimna padła trwoga —
 Głośno krzychałem że idę do Boga.

O! haniebna to była maskarada!
 Gdybym się kiedy tak we wsi pokazał,
 Proboszcz by dzwonić w dzwon umarłych kazał
 Za mną by dziatek leciała gromada.
 A tam — krew ciekła na księżycu bruki,
 Leciały za mną wrony, sępy, kruki

Wilki wyjrzały z parowów i jęły,
 Aniołki znikły, bo się mnie przelęły:
 Przecież, żem nie był zbój, to łatwo dociec.
 Na czole miałem napisano: ojciec;
 W oczach lzy były co wszystko tłómaczą,
 Zabójce tak nad trupami nie płaczą.

Szedłem przez góry, szedłem przez padoły;
 I niewiem gdzie szła ta piekielna droga,
 I nie wiem czyli tam chodzą anioły;

A ja krzychałem że idę do Boga.
 Idę przez ciemne tajemnicze światy,
 Ukochanemi trupami skrzydlaty.
 Idę, a język mi syczy jak żmija.
 Mózg wszystko pali, łamie i zabija,
 Boleść co w sercu, cały świat oskarża.
 Mój widok sądem jest, mój płacz przeraża:
 Umarli co mię zobaczą nie zasną;
 Bóg może nawet twarz odwróci jasną.
 Na blask boleści, który zemnie strzela.

Od krwi co w kontusz wypłowią się knie,
 Matka się Boska odwróci, i złęknie,
 Myśląc że była matką Zbawiciela.

Idę... w tem panie! patrzę jakaś szklanna
 Z księżycą w niebo wytryska fontanna:
 A od niej leci woń miła i słodka,
 A przy niej tańce, płasy i chichotka.

Dziewczęta hoże, proste jak badyły,
 A ze skrzydłami jak polne motyle;
 Za dziewczicami rój kochanków młody,
 Goni, całuje i spycha do wody:
 A ukąpane dziewczeczki wychodzą
 Piękne jak róże, co się dzisiaj rodzą,
 Piękne jak białe narcyzy do wianka,
 I za kochankiem, znów leci kochanka,
 I nikną w łąkach. A ta wywrócona,
 Gdzieś szafirowe łowi winogrona;
 A ta do wody kryje się jak płotka,
 Nie mając innej szaty jak ta woda;
 A ta całuje kogo tylko spotka,

Wszędy wesołość śmiechy, miłość, zgoda.
 Zmartwiałem — wąż się najeżył surowy.
 Spojrzałem gorzko na dzieciątek głowy.
 Szukam, znajduję dwa kamienie duże,
 Chwytam—w tem jeden zamienił się w różę
 Drugi w motyla; tak że z gniewu burzą,
 Motylem na nie rzuciłem i różą.
 Wściekłość mię zdjęła! W tem jedna z dziewczeczek:

Patrzcie! krzyknęła: co to za figura?
 Patrzcie! krzyknęła: co za aniołeczek

W starym żupanie! patrzcie co za gbura!
 I wszystkie w śmiechy cha! cha! cha! cha! cha!
 A jedna do mnie: proszę pana lacha!
 Proszę tu bliżej, tu nie ma zazdrości,
 Dla wszystkich płynie fontanna młodości;

Proszę tu bliżej: zagrzej sobie żyły,
 A wyjdiesz świeży jak kwiatek z mogiły;
 Odrzucisz czaszki zbierane na grobie,

Wymyjesz tę krew co z żupana cieknie,
 A potem sama zakocham się w tobie,

I przekochamy czas, i czas ucieknie;

Proszę tu bliżej! proszę do fontanny!

Tak zapraszała ta i drugie panny.

A tu mi wtenczas już gniew nie wystarczał,

Zęby szczękneły, i język zawarczał,

A wy niegodne! a wy kogutnice!

A tam kraj we krwi? a tu w różach lice?

A tam mogiły — a tu! — bierz was djabli! —

Jak skoczę panie! jak dobędę szabli!

Jak się z krzyżowym wypuszcze zamachem!

Wszystkie różyczki w nogi! ja za niemi —

Lecą ogromnem ścigane przestraczem,

Biją mię w oczy, włosami złotemi;

A ja zaś ramię — co machnie szablica,

To utnie kawał srebrnego księżycy.

A te się śmieją, biegną i wietrzeją

I za laury się kryją i znów śmieją,

I przez cyprysy skakają jak róże;

Ażem się cały w łzy zapocił duże,

A tak mi serce wściekło się grobowe:

Ze odwiązawszy z syna pasa głowę —

Przypadkiem głowa to była ułana —

Jak za włos chwyć! jak zakreć wartko!

Jak palnę!!! — czarna z niej krew jak ze dzbana.

Ułan — miłośne to było lampartko!
Skoro się poczuł, w trop za dziewczátkami,
I djabli by go nie wstrzymali sami.

Kręci się, leci, kolorów nabiera.

Wąs się zakręca, oko się otwiera,
Jak w lot się puścił, tak leci i leci:

A trupek to był: a proszę waszeci!
Fartuszkciem swoim z bielutkiego rąbka

Najpiękniejsza go wzięła jak gołąbka,
I przytuliła: i chórem gromadnim

Zaczęły wszystkie piękne płakać nad nim.

Aż mi jeły ciec łzy po siwych wąsach.

Zostańcie! rzekłem: zostańcie wy w płasach!

Wy co i płakać umiecie rycerzy!

Przy waszem sercu mu dobrze, niech leży:

Niechaj spoczywa, a wy moje młode

Lejcie na niego tę młodości wodę:

A choć nie zbudzi to lepsza jest ona

Polewać trupy, niż łza moja słona.

Ubierzcie go wy w kwiaty lelijowe,

Tańczujcie nad nim i bądźźcie mi zdrowe.

Bo mnie staremu inna niż wam droga,

Bo ja mam krwawy zapozew do Boga.

Tak mówiąc w serce jakby mieczem ranny,

Od śmiejącej się odszedłem fontanny.

A wiatr z prędkimi lecąc za mną echy.

Przynosił długo płacz, róże i śmiechy.

Lecz to na długą powieść się zabiera:
 A człowiek grzeszny częstokroć umiera
 I małej bajki życia nie zakończy:

A nad nim wszyscy w śmiech! a wstyd mospanie!
 A cóż robiłeś ty na życia łanie?

A rzadko jaki tam anioł obrończy,
 Stłumi obmowy gadające lichy,
 Mówiąc: on w grobie spi — gadajcie cicho!
 Więc o to chodzić każdemu powinno,

Ażeby finis był w jego żywocie;
 Jak jedną powieść skończy, zacznie inną,

Gdzieś tam na tęczach w promienistym złocie,
 Gdzie już nie pójdzie nic chęciom opacznie.

Kiedyż się moja taka powieść zacznie?

Jużem grób sobie jak ziarnu wyorał —

Ale bierz djabli grób, ciało i morał!

Do rzeczy panie! Na końcu księżycy

Stoi piekielna jakaś szubienica,

I biedne ludzie po śmierci przestrasza,

Kołyszac trupem brzęczącym Judasza.

Za szubienicą zaś tą o pół ćwierci

Mili niebieskiej, stoi brama śmierci.

Nie dla tych ludzi co szli wedle cnoty

Ale dla krwawej piekielnej hołoty.

A na tej bramie są różne napisy.

Na szabli mojej jak żebrak na kiju

Przed piekłem mój łeb uchyliłem łysy

I czytam: tutaj: *sacre nom de Dieu*,

Ognista szablą jakąś grenadjera
 Wyrysowane, stoi w dyamencie.
 Tu inne jakieś straszniejsze przekłęcie
Carrajo! Goddam! do stu —! et cetera.
 I różne takie mój panie rysunki
 Nosi na sobie ta piekielna wieża.
 Żem się pokornie udał do szkaplerza,
 I odmawiałem pobożnie korunki:
 A dreszcz mię przebiegł i przejęła skrucha
 Widząc jak za tą wieżą ogień bucha.
 A tutaj do mnie z bramy jakiś człeczek
 Krzyknął: szlachcicu! — ja zaś nie chcąc sprzeczek
 Z djablami, udał żem ślepy i głuchy,
 I litanije trzępię pełen skruchy,
 A patrząc zezem; a ten nieboraczek
 Z ognia wydobył nos krzywy jak haczek.
 I kichnął skrami i łzy miał na licu;
 I znow mię prosi: mój panie szlachcicu!
 Jeżeli twoja łaska, albo czyja,
 Niech zmówi za mnie sto ave maria:
 Jam cenzorował książki i obrazki,
 A teraz w piekle; zowie się Sz.n.ski..
 A djabeł tutaj mię postawił na to
 Abym nie wpuszczał myśli; a pod stratą
 Duszy moskiewskiej uczynić to muszę,
 Bo choć ją djabeł rwie, mam jeszcze duszę?
 A! to, krzyknąłem: rzecz niesprawiedliwa
 Cenzory w piekle palić jak łuczywa?

A przyznam ci się żem nie wiedział prawie,
 Kogo ja z piekła, do nieba wyprawię.
 Już się za szkaplerz biorę nieświadomy —
 Aż tu w korunkę dwa czerwone gromy!
 Aż tutaj szkaplerz i szlachcie się pali.
 Uciekam — widzę rzekę — buch do fali!
 Wpadłem, myślałem że już na dnie leżę;
 Lecz te główeczki dzieciak jak pęcherze
 Płyną po wodzie, i mnie starca niosą.
 O! wy z twarzyczką białą, złotowłosą!
 O! wy dzieciątka moje z twarzą młodą
 Jak wy nosili mię nad piekła wodą!
 Jak wy dźwigali mię wśród tego wrzątka
 O! łabędzie wy moje! o dzieciątka!
 Próżno mię jakiś chciał wyrwać z powodzi,
 I do swej czarnej zapraszał mię łodzi,
 Człowiek co wożąc mgły zarabia chleba:
 Odpowiedziałem: łodzi mi nie trzeba,
 Bo mię tu niosą synaczkowie moi;
 Wody nie trzeba — bo mię łąza napoi,
 Ani rozmowy — bo trupki te bawią,
 Ani modlitwy — bo mię one zbawią;
 A zaś przed Bogiem nie trzeba wymowy,
 Bo za mnie będą mówiły te głowy.
 A wszystkie trupy co na łodzi stały,
 Na moją głowę pokazując sobie,
 Pytały: czy to jaki łabędź biały
 Co smutnie śpiewa gdy ma zasnąć w grobie?

Bom się unosił śpiewając żałośnie,
Po czarnej wodzie co z łez ludzkich rośnie.

Nie patrz ty na mnie, gdy ja w smutek wpadam;
Bo wtenczas niewiem co się ze mną robi
I cały we łzach utonawszy gadam.

Lecz gdy mię starca wesołość ozdobi,
Wtenczas mi śmiało możesz patrzeć w oczy.
Śmiejmy się! ej ha! aż serce podskoczy!
Śmiejmy się jako woda zwierciadlana!
Śmiejmy się! — pozwól że zajrzę do dzbana —
Hej tak! otarłszy pot na siwej skroni,
Spuściłem pałasz, niech po piekle dzwoni.
Człowiek poczciwy to nie tajemnica,
Po całym piekle niech słyszą szlachcica.
Twarz polska nie ma obłudnej skorupy,
Niechaj w nią patrzą jak w zwierciadło trupy.
Kto ma z płomieni posłanie i trunę

A w grobie mi się z oblicza podoba;
Za tego westchnę, a kto nie, to plunę.

Albowiem szlachcic żywy — to osoba —
A król umarły jest to rzecz nicości,
Troszkę robaków: pfu, i trochę kości

Lecz wprzód opiszę jaką tam strukturą
 Stoi ta wieża zwana trupów górą.
 Czarna po wierzchu, czerwone ma wnętrze:
 O siedmiorakim zbudowana piętrze,
 Różne języki w niej mówią i płaczą,
 A wchodzisz na nią drożynką ślimaczą.
 A czasem ciemno tak choć wykoł oczy,
 A tam grom wytnie, a tam wąż wyskoczy.
 A tam lew ryknie, a tam żmije pisną,
 Czasem jak wilcy trupy okiem łysną:
 Śród takich strachów; śród takiego dziwa,
 Szedłem Dantyszek, Piast herbu Leliwa.
 A każdy mi trup mówił: dobra droga!
 Wiedząc że idę ze skargą do Boga:
 I niosę cztery główki mego rodu,
 Jak pokrwawionych gołąbków dwie pary;
 I mam w kieszeni manifest narodu
 Abym przeczytał go przez okulary
 Przed panem Bogiem: i dowiódł rozprawą
 Że szlachcic kiedy zabija, ma prawo.
 Że mu przystojnie gdy przed Bogiem stanie
 Ze krwią na szabli, ze skargą na zębic.
 Bo cóż — był biały — Ale to mój panie
 Jak okrwawione po nocy gołębie,
 Kiedy na pole walki pić przylecą;
 Nie wiedzą same co piły? czem świecą?
 Tak i my biedni, ludzie nieobłudni,
 Cożeśmy winni, że krew w naszej studni?

Cóżeśmy wiśni że krwią czara tłusta
I krwawe oczy i czerwone usta?
To może nawet nami i serca bola
Jeść ciąglą zemstę z łez żałosnych sola!
Ale cóż robić? tak nam być na wieki
Ludziom bez Boga litośnej opieki.
Tak aż się kiedyś tam szala nachyli,
Choćbyśmy do dnia sądniego krew pili
Bądźmy jak męże co walczą i mszczą się;
A choćby tyle w nas życia jak w kłosie
Co rośnie pośród gdzieś przejezdnej drogi,
Zdeptani, stokroć wstaniemy na nogi!

Tu cię na wstępie powieści przeraże —
Wieża piekielna oparta na Carze,
Na jednym trupie, jak na zgniłym palu,
Cała się trzęsie wisząc na moskalu
A nie dziw się ty siłę trupiej belki,
Bo to w osobie piekielnej Piotr Wielki.
Siedzi pod wieżą, a na nież o cebra,
Jakieś straszycło okropne, puhacze.
Wylewa ciepłą krew ludu i płacze,
I oczerwienia mu łeb, piersi, żebra.
Przed tym straszycłem, co siedzi czerwone,
Myślałem z trwogą że we krwi utonę.

Co robić? krwawa podemną kałuża,
 Nademną smutnie krew ludzka szeleści;
 Straszdyło siedzi i oczów nie zmruża;
 A oczy jego czerwone jak róża.

A tyle w nich krwi, że łza się nie zmieści.
 A rzecz straszniejsza! każdy trup włóczęga,
 Carowi temu na wierność przysięga;
 We krwi się topią mary niedoleżne,
 Ogień zapalił im palce przysiężne,
 Tak że każdego kościo-trupa wdzięki,
 Widać przy ogniu palącej się ręki
 Palą się klęcząc --- A tu nowe dziwo!
 Krew do mnie woła po polsku: Leliwo!
 Jam jest krwią ludzi umarłych bez plamy!

Jam jest żałosną i męczeńską jestem!
 O przekop ty mi twoją szablą tamy,
 A ja popłynę z płaczem i z szelestem,
 I całe piekło mszcząca się zatopię.
 Rzekła: ja zaraz do szabli i kopię.
 I krew się cała z kałuży wywala,
 Skarży się, płacze i szumi jak fala.
 Zagasza trupom płonące ramiona,
 Cała dolina we krwi, już czerwona.
 Wszystko się topi jak w sądu godzinę,
 Ja sam co rów ten wykopałem, płynę.
 Już popas we krwi, już czerwona szyja,
 Już wąsy — Jezu! krzyknąłem: Marya!
 Piekło się wali, a! dajże go biesu?

Co jeden szlachcic narobił tertesu?
 Piekło zalane krwawą falą ginie,
 Szatani toną — pan Dantyszek płynie,
 Powietrza nabrał sobie w twarz pyzata,
 Urąga z głupiej fortuny jak Kato.
 Łysina błyszczy ludziom potępionym,
 Jak biały księżyc na morzu czerwonym.
 Szabla rdzawieje — Niech ją biorą djabli!
 Polak w kołysce i w trumnie przy szabli.
 Wreszcie znudziło mi się tak żeglować
 I pomyślawszy zawołem: Chryste!
 W imię twoje święte racz ty mię zachować.
 I wnet uchwycił mię ktoś jak w ogniste
 Skrzydła, i wyniosł w nieskończoność ciemną,
 I przez powietrze mgliste leciał ze mną.

Skorom wyleciał nad czerwone brody,
 Zacząłem wołać wody! wody! wody!
 Czarny cherubin, co mię w skrzydłach nosił,
 Skoro posłyszał żem pokornie prosił,
 Postawił ciało me grzeszne na skale,
 I ulitował się mnie, i wspaniale
 Oko swe własne z nad dzioba wylupił,
 I dał mi z oka pić — a jam się upił.

Polak prawdziwy kiedy się upije,
 Wspomni ojczyznę i płaczem zawyje:
 Potem jak ludzie w zmysłach nieprzytomni,
 Śmieje się głośno gdy o niej zapomni.
 Tak ja mój panie! to śmiech, to łzy żywe,
 Lałem na moje długie wąsy siwe.
 I cóż! gdy miła ojczyzna nieżyje
 Kto starca może obwiniać że pije?
 Hej nieście dzbany! i stawiajcie w koło
 Niech pomagają umierać wesoło.
 Niech pomagają tysiącami dźwięków.
 Nie słyszeć kajdan i płaczu i jęków.
 Niechaj na kwiaty obalają śliczne,
 I pod lipami do snów cichych tulą.
 Na cóż nam serca chować balsamiczne?
 Cóż po tem? że łby siwe się rozczulą
 I znów na piersi zasklepioną ranę,
 Jak łby łabędzie spadną zadumane?
 Co robią myśli pod czaszką ogromną?
 Przypominając — co sobie przypomną?
 Nie — Wszędzie, nędza, smutek i zgryzota!
 Ojczyzna — kawał skrwawionego błota!
 Polak — wygnaniec, męczennik, sierota!
 To pić i szukać zapomnienia w dzbanie,
 A zbudzić serce, gdy kraj zmartwychwstanie.
 Upił się starzyc — a tu właśnie sina
 Zachodzi jemu drogę Katarzyna.
 Spójrzałem na nią! o! krwawa! o! sroga!

Trupy! skrzydełka nieście mię przed Boga!
Spójrzałem na nią i w zrenicę cisnę,

I powiekami mogiłę zawarłem;

I będę milczał, aż ją krwawem gardłem,
I krwawem okiem, przed Bogiem wybłysnę;

Aż ze mściwego serca wyrzucona,

Przed Panem Bogiem upadnie i skona.

Trupki! skrzydłami wy bądźcie pośpiechu —

O! wy nie śpieszne już! o! wy leniwe!

Główki! ptaszęta wy moje nieżywe!

Ja się wam każę nieść przez kraje grzechu

A wy płaczecie, i wasz głoszek niemy

Mówi mi: Ojcie! my już w grobie śpiemy!

Dobrze! nie będę was płakać o! dziatki!

Ani jak ojciec ani tak jak matki;

Lecz jak jaskółka jaka nieszczęśliwa.

Co puste gniazdo skrzydłami nakrywa;

I o swych dzieciach jak o żywych roi,

I pod skrzydła się własne zajrzeć boi.

Ciało carycy zgniłe, starożytne,

W sercu ma węże, jak miecze błękitne:

Za sobą skrzydła te węzowe wlecze.

A z czarnych piersi, krew jak korał ciecze.

Na gryszpanowej krwi te węże tyją,

I nad umarłą niewiastą się wija;
A twarze mają blade martwych ludzi,
A usta im krew zastygniona brudzi;
A z bladych twarzy wznoszą się do góry
Płomienne, z ognia piekielnego sznury:
Tak że ujrzałem i dziś jeszcze widzę,
Na siedmiu węzów splątanej łodydze,
Jakby ten świecznik tyleż liczył prawięc,
Widzę głów siedem trupich i błyskawic.
Świecznikom była. Tu nagle o! zgroza!
Jeden wąż nad nią nagiął się jak łoża;
I zdjawszy z siebie człowieka oblicze,
W usta jej czarne, krwawe, tajemnicze,
Wszedł i do serca aż może przeniknął
Bo potem wyjął głowę i krwią syknął;
A senność jakaś spadła na umarłą,
Poziwające otworzyła gardło;
Patrzałem trwożny co się dalej stanie,
A z niej ogniste wyszło poziewanie,
I w gadzinę szło jakby płomień siny:
A drugi płomień w trupa, szedł z gadziny.
A tu już wstrzymać nie mogłem szablicy!
Jak tnę w nadęty żywot czarownicy,
Cały otworzył się jak czarna grota;
Wyszedł dym, płomień i węże z żywota.
Węże i na mnie lecą czarnym kłębem.
Próżno je szablą tnę, zgrzytając zębem,
Próżno, z gadziny rodem, nie ma rady:

Ten kłębek w setne rozsypał się gady
 Lecą i myślą że szlachcica zniszczą,
 Lecą i skrami sykają i świszczą.
 Uciekam, a wąż tuż, tuż za mną ściga.
 Odcinam się im, kręcę się jak fryga;
 Wreszcie do głowy po ostatnią radę,
 Chwytam dzieciątko moje jedne blade,
 Rzucam je więcej sam niż trup wybladły.
 Na głowę dziecka wszystkie gady wpadły,
 I określiły ją wiankiem i zjadły...

Tam węże jedzą głowę, a tam krzyki!
 A tu mię liżą płomienne języki:
 A tu duch jakiś okropny, ponury,
 Ze złotą tacy, w chałacie z purpury,
 Idzie i usta ognistemi piecze
 Na złotej tacy — co? — serce człowiecze.
 Spojrzał nocnego na mnie okiem ptaka
 I rzekł mi: patrzaj! to serce polaka.
 Kłamiesz! krzyknąłem: straszydło szkaradne,
 Bo w nas się serce tak nie trzęsie żadne,
 A choćbyś rozdarł mi szponami ciało
 I wyjął moje, aniby zadrżało.
 A ta rzecz drżąca i zgniła i szara,
 To musi serce być jakiegoś Cara;
 To serce co jak wąż z tacy umyka,

Musi być z Cara, albo z niewolnika,
 Bo drży wyjęte z piersi, bo się boi.
 A Duch — co ci się mój szlachcicu roi?
 To serce przyniosł tutaj pies szatański,
 I szczeknął do mnie że to Erywański;
 A ja upiekłem je dla Lucyfera.
 Tak mówiąc usta na nowo otwiera,
 I na te serce ogniem z gardła dmucha,
 Serce się kurczy pod ustami ducha,
 Wiednie, i krwią się rozlewa po misie;
 A kiedy szatan jaśniej dmuchnie — skrzy się.

Poszedł. A szlachcic poleciwszy panu,
 Serce Polaka co nie dźwięk liczmanu.
 Ale dotknięte od fortuny młota
 Wydaje smętny brzęk szczerzego złota;
 To serce panu oddawszy w pokorze,
 Wyszedł jak okręt, na nieszczęsnych morze.
 I wyżeglował w jakieś kraje smętne,
 Gdzie było niebo krwią narodów mętne,
 I krwawa tęcza była na ciemnicy,
 Jak wstęga z cichej krwi i z błyskawicy.
 A całe niebo zielone jak z miedzi.
 A pod tą bramą czerwoną trup siedzi.
 Złożyłem ręce na piersiach pobożnie,

Koło martwego przechodzę ostrożnie
 Abych nie trącił o rzecz taką cichą

Siedzącą martwie pod krwiami narodów.
 Idę — i moją nie dzwięczę szabluchą;

Myśląc że to jest jaki trup Herodów
 Któremu tu jest wieczności początek,

I wieczna skrucha, za rzeź niewiniątek.

Aż tu ktoś do mnie z ciemnego powietrza:

Pluń w twarz, zawolał; tej bezwstydney marze,
 Która jak szakał tu krew trupią zwietrza.

Stałem: myśląc że Boga obrazę,

Że mię tu szatan w swoje sidła łowi

Kaząc mi w ciche lice plwać trupowi.

A gdym z sumieniem zadał się do sporów.

Głos znówu krzyknął: plwaj! bo to Suworów!

Ha! ha! krzyknąłem szlachcicu! moskalu

Więc i ty teraz po krwi naszej w żalu?

Siedzisz jak żeglarz na rozbitej łodzi,

A krew po oczach przeleknionych chodzi:

I nigdy na nie nie spada powieka;

A czasem tylko mgnienie krwi powleka

Sine szkło, w czaszce oprawione trupiej.

A czasem się wzrok cały w tęczę wslupi,

A wtenczas jako liść na drzewie chory

Zrenica twoja ma różne kolory;

I różne blaski i haniebne cienie

Miotą o rzezi mówiące sumienie.

Czy słuchasz jeszcze pod okropną tęczę

Jak matki krzyczą? jak dzieciątka jęczą?
Jak wyrzynana Praga wre i płacze?
Maro! na ciebie żaden waż nie skacze,
Żadna przy tobie nie szeleści dusza:
Lecz piekło trupów się pod tobą rusza:
A tęcza jak bicz na ciebie okrutny,
Bo siedzisz blady, drżysz i jesteś smutny.
To nieszczęśliwym nam znośniej w ciemnicach,
Z łańcuchem u nóg, ze łzami na licach:
Mniej obrzydliwie, gdy z więzienia nory
Wychodzą blade szpiegowskie potwory,
I stają na kształt ciemnego anioła,
Słuchać co we śnie mówią blade czoła.
To stokroć lepiej w krwawą upaść rzekę,
Oddawszy duszę swą Panu w opiekę;
I świat utracić jak rzecz jaką podłą,
A potem, gdzieś tam, pod cmentarza jodłą
Leżeć spokojnie i z umarłych pychą
Słuchać jak sławy hymn śpiewają cicho;
I przerywają sobie często łzami,
Żywi śpiewając, nad zmarłych trumnami,

Hej! hej! piekielna rozszerza się góra,
Im dalej idę, tem bardziej ponura.
A tu jakiś trup, niby wierzba sucha,

Ogniem jest jasnym po głowę od brzucha,
 A jeszcze Panie! uda ma zupełne,
 Wewnątrz oleju, krwi, żył, ognia pełne.
 Tak opuszczona chrzcielnica kościelna,
 Gdzie była niegdyś woda nieśmiertelna,
 Kiedy ją ludzie opuszczają pleśnieje,
 Wąż ją wypełni, i mech przyodzieje:
 Tak i w żywocie tym trupim, już gady,
 Płomień i błędnych iskierek gromady,
 A nad tym wszystkim spleśniała skorupa,
 A ciągle nowy grzmot walił w półtrupa.
 I taki był blask że szlachcic Leliwa
 Myślał: tam Bóg się za światłem ukrywa.
 Z taką nadzieją, człowiek nie ze słomy,
 Krzyżem się świętym opatrzył — i w gromy!
 Skry go opadły, a piorun potraça,
 Nie dotknąć szabli, jak ogień gorąca.
 Duszeczek z twarzą niż lilijki bledszą
 Na starca z ognia piekielnego patrzą,
 Proszą biedaczki o Ave Maria;
 Szlachcic się żegna, modli się i mija.
 Męki się biednych duszeczek użalił,
 I szedł, i w ogniu Pana Boga chwalił.

Przeszedłem gromy i ognistą chmurę,
 Idę, a oczy zanoszę na górę.
 A tu na złotym niby słońca denku

Krzyż—A szlachcicu Piaście pomaleńku!
Do krzyża Wacpan przystępuj z pokorą,
A niech obłudne ludzie djabły biorą!
Lecz krzyż choć w piekle siedzi przez trafunek,
Niechaj u siwej głowy ma szacunek.
Wtem patrzę napis haniebny o! trwoga!
„Na krzyżu nigdy tym nie było Boga“
Cóż to krzyknąłem, więc to jakaś stara
Szatańska sztuka! krzyża trup i mara.
A to co? Jakieś pobożne trupiátko,
Złożone rączki trzyma jak dzieciátko;
W grobowcu świeżo wykopanym klęczy,
Podnosi ręce, skarży się i jęczy:
A ma na głowie koron potrojenie,
W koronach z ognia żywego kamienie,
Twarzyczkę suchą co się wiecznie łzawi.
A tu niech mię Bóg jeśli może zbawi,
A człowiek jeśli chce niech nie dowierza;
Ale ja powiem zem widział Papieża.
Tu mi się wszystko pomieszało w oczach;
Chwytam na złotych wiszącą warkoczach
Głoweczkę syna i rzucam na mare;
A trupek złotą mu strącił tyarę,
I tak uczynił pokutnika z króla.
A ja krzychałem: Papieżu! a bulla?
Tu starzec zawył z przeraźliwą hryją:
Krzyżu! trupami na mnie wołał bija!
A ja na jego płaczu kiryelle

Rzekłem: a co ty robiłeś w kościele?
 Takżeby Chrystus dziatki w krwawych rosach
 Trzymał na łonie i głaskał po włosach?
 Bo my dziatkami prawie niewinnemi,
 Kładli się we krwi na ojczystej ziemi.
 A ty o! stary czyś wyciągnął dłonie
 Ku tej ojczyźnie która we krwi tonie?
 Czyś ty się za nią pomodlił przed Bogiem?
 Widzianoż ciebie przed ołtarzów progiem
 Żeś sypał popioł na twe włosy siwe?
 Trupami cię przywale! znaj Leliwę.
 A w niebie skargę na ciebie zaniosę
 Pannie Maryi królestwa patronce;
 I całą tęczę aniołów roztrącę,
 I przejdę całą gwiazd różowych rosę,
 I na księżycu jej białym uklęknę;
 I tak ją łzami skruszę — krwią przełęknię,
 Że wreszcie z niebios błękitnych wyprawi
 Anioła co nas pocieszy i zbawi.
 A ciebie coś tył pacierzem i czaszą
 Złożyć by w ten grób! i krwią zalać naszą!
 Na to staruszek: wcale nie potrzeba
 Rzekł mi: po zemstę chodzić aż do nieba.
 Obacz jak mię ten krzyż za szyję ściska.
 Tak mówiąc starzec wyszedł z grobowiska,
 I Chrystusowe szedł lizać znamiona;
 A! krzyż go w czarne uchwycił ramiona,
 Podniósł za szyję, wstrząsnął, i uścisnął;

Aż trup sowiemi zrenicami błysnął;
Z szyi się własnej rwie jakby z powroza.
Krzyż zadrżał — ciało upadło. O! zgroza!
Urwany się trup w mogile położył,
A krzyż żałobne ramiona otworzył;
Głowa człowieka wzrok miotając sowi
Wypadła z ramion ciemnemu krzyżowi,
Biegła, aż ciało w krwi jasnej znalazła,
I sycząc jak wąż do mogiły wlaźła.

O! jakże trudno z tych ciemnych padołów
Grzeszną podlecieć myślą do aniołów?
Lecz kto w opiekę się da Panu swemu,
Ten nie ulegnie przestrachowi złemu:
Ani mu zadrzą nawet wtenczas wargi,
Kiedy żałosne rozwodząca skargi
Dusza na wieczność odchodzi z żywota,
Gasnąc jak jaka piękna lampa złota.
A chyba boleść przejdzie serce do dna,
Myśląc że ziemia go nie była godna.
Że wędrownikiem na polu szerokim,
Odchodząc, płakać nawet nie ma po kim.
A kiedy strumień lat przeminął lotny,
Został na świecie jak bocian samotny:
A żaden z druhów we śnie, ni na jawie,

Nie przyjdzie usiąść na gościnnej ławie.
Tylko gołębi znajomych za młodu,
Dziatki zlatują pod lipę do chłodu
I po murawach sobie chodzą dumne,
Jakby do starca mówiąc: precz ty w trumnę,
To tak nie wiedzieć co nam starym czynić?
Kwiaty się zdają nasze oczy winić,
I na to listki tęczowe wyciągać,
By szklannym oczom starości uragać.
To więc nam w płomień piekła patrzeć smutnie,
Gdy inni grają w piszczałki i w lutnie.
To więc o rzeczach strasznych rozpowiadać,
I nad rzekami utrapienia siadać,
Słuchając jak te potępione wody,
W przepaść nieszczęścia, unoszą narody.

Gdzież to ja byłem? Ha! w piekielnym lesie,
Gdzie nieraz wichur nieszczęścia poniesie
Dusze szlachetne i po ziemi szarga,
Jak zwiędłe liście w których szumie, skarga.
A ciemny był las, smutny, i głęboki,
A drzew gałęzie powite jak smoki:
Na jednych wisi czarny liść i krwawy,
Te otworzyły wielki pień dziurawy
I siedzą z dumną starości powaga.

Dobylem szabli, a ujrzawszy naga,
 Taki mię smutek zdjął i tak szalony
 Żem zaczął rąbać las na wszystkie strony.
 Aż tu krew tryska, oczy mi zalewa,
 Krwią wybuchają, jęczą wszystkie drzewa;
 Próżno ubieram pierś w najświętszą Tróję;
 Krwią leją — krzyczą: stój! my samobójce!
 O! przestań rąbać! o ty bez litości
 Człowieku! czemu ty nam łamiesz kości? —
 Któż wy jesteście spytałem o! dusze?

A jeden do mnie: Nie krusz mi gałęzi!
 Bo ja w tym dębie pokutować muszę,
 Żem duszę moją chciał wyrwać z uwięzi,
 I otworzyłem jej drogę ołowiem;
 Słuchaj mię stary, to ja ci opowiem
 Jak ruska rąka twarz splamiła jasną,
 A jam się umył krwią na twarzy własną.
 Nie chcę was słuchać, krzyknąłem, na Boga!
 Że wami hańba miotała i trwoga,
 To wyście w sobie zacierali święty

Chrystusa Pana wizerunek? krwawi!
 Przekleci bądźcie! i las wasz przeklęty!

Nie zabijali się Polacy prawi!
 Ani przed dumną Kościuszki mogiłą,
 O takiej rzeczy kiedy słyhać było.
 A teraz przyszło nam jak na ostatki,
 Że się na trupach samobójczych matki
 Kładną i rany ich haniebne liczą,

I w dziurę czaszek, pożegnania krzyczą
 A dusza idąc tam gdzie droga pusta
 Na wyjściu ich łzy znajduje i usta,
 I oczy matki otwarte na straży,

I znów do czaszki wraca przerażona.
 Nie zabijali się Polacy starzy!

Drugi raz Chrystus w was i polska kona.
 Ato więc hańba w nieświęconej ziemi,
 Chować się wcześniej pod kwiatki złotemi
 Których to runem lekko wiosna rusza:
 Gdy w innych ciałach cierpi Polska dusza.
 O! czarni! hańby ojczystej nie pomni!
 Bądźcie wy teraz pokorni i skromni
 Pod kamieniami rozstajnymi świata;
 Tam łzy — a tu was szlachcic szablą pląta,
 Cboćby go wasza krew zalała z głową,
 Tak mówiąc idę i ramię na nowo,
 A szabla moja smutnie w drzewach brzęczy;
 A las oblewa mię krwią; a las jęczy;
 I woła za mną i na drzew wyłamy
 Wychodzą białe księżycowe plamy:
 To smutnych dusze co z twarzą księżycą,
 Przez krew patrzyły w piekle na szlachcica.
 Idę, a czarna krew z tych dębów syka,
 Idę, podobny z twarzy do krwawnika,
 Idę i niosę niestrwożone lice;
 A wtem się chować zaczęły księżyce,
 Dusze się trwożne zamykały w korze;

Las cały panie! w czerwonym kolorze
 Błysnął okropnie ciemno i ogniecie,
 I wypadały płomienie przez liście.
 Z trwogi się ręką przeżegnałem lewą,
 I pochowałem się grzeszny za drzewo.
 Patrzę, a tutaj konnych ludzi kupa,
 Galopem ściga książęcego trupa.
 A niech mię święty mój Dantyszek broni!
 Ci ludzie byli pół człeka, pół koni.
 O! biedny książę! o! jaka mizerja!
 Wężowe chwosty miała kawalerya,
 Z ognia przyłbice, akselbanty z węży —
 Takich musztrować o jakże to cięży!
 I nie słuchają komendy i lecą
 I kopytami ognistemi świecą;
 Próżno się książę drzew płaczących chwytą;
 Na łeb mu skrawe rzucają kopyta,
 Na blade czoło, na lenty ze srebra:
 Aż trupia postać przed burzą ukłękła,
 A jam usłyszał jak trzasnęły żebra,
 Jak czaszka jego zgrzytnęła i pękła.
 I dalej leciał ów hufiec kałmucki
 I na las runął gdyby morskie wały;
 I rosł płakał się las za nim cały,
 I rozjęczał się las — a jęk był ludzki.

Wybiegłem wtenczas blady z po za drzewa.

Coś zgniecione go jęczy i poziewa;
Przychodzę — płótnem nakryte trupisko.

Oddzieram płótno, ciało się oddziera.

Zmartwiałem cały na to widowisko:

Z pod płachty, czaszka odarta wyziera,
Już nie oczyma o! święte Anioły!

Ale czarnemi patrzy na mnie doły.

I nagle się tak poskarżyła smutnie:

O! czemu ty mię dręczysz starcze Boży?

I czemu ty mi twarz zrywasz na płótnie?

Tak mówi ta kość i serce mi twoży,

I do litości ku niemu skłoniła:

Więc rzekłem: czaszko! bogdajbyś ty była

Wprzód powiedziała czym jest przyklejone

Na twoich kościach te płutno czerwone;

A jabym w tenczas Waszej Księżej Mości

Zostawił jego płaski nos na kości,

A teraz więcej już rany nie ruszę,

Bo czasem miałeś ty litość i duszę;

A czasem nawet, czerwony Herodzie

Uszanowałeś Chrystusa w narodzie.

A nim ci błysła Polski szabla goła,

To przed nieszczęściem uchylałeś czoła.

Więc bądź spokojny! ja zemsty nie biore,

I oddam drewnu twojemu tę korę.

A nawet jeszcze przed tych konnych przejściem,

Ciało przysypię samobójczym liściem;

I zaśniesz jako ludzie w krew ubrani,

I nie wynajdą cię pod krwią szatani.
 Tak powiedziawszy nałamałem w boru,
 Rzeczy płaczącej, krwawego koloru,
 I książęcego przysypałem trupa.
 Zastygła na nim posoki skorupa;
 A gdy wstąpiłem cały drżący trwogą
 Na nią, to nawet nie jęła pod nogą.

I patrz na jakiej ja mogile sterczę
 Jak krzyż wsadzony na ciało mordercze?
 I wodzę okiem po nieszczęścia światach,
 Smutny jak bocian stojący na czatach,
 A ty mnie widząc tam w ciemnicy piekła
 Pytasz gdzie moja wesołość uciekła?
 Na tym czerwonym grobie i liścianym,
 Na tym ohydny, we krwi pochowanym;
 Wietrząc arabskich prawie nozdrzem koni,
 Skąd przyjdzie wicher Chrystusowej woni;
 Z której się strony w samobójczym lesie
 Błękitny księżyc zbawienia podniesie,
 Skąd mi samotna twarz Bogarodzicy,
 Błyśnie łabędzią bielą w błyskawicy,
 Skąd mi nadzieja słoneczna zaświta,
 Stoję — a któż mię o wesołość spyta?
 To więc szaleni co się zawsze śmieją,

I każdą rospacz farbują nadzieją.
 Wesołość była ozdobą Polaków,
 Lecz już podcięto skrzydła złote ptaków,
 To już nie lecą gwiazdom patrzeć w oczy;
 A dumne serce teraz robak toczy;
 I twarz schylona lepiej dziś przystoi
 Niż stał na piersi i skrzydła na zbroi.
 Bo nie polecą już rycerze nasi,
 Jak ptak co myśli że krwią słońce zgasi;
 Ale gdy wyjdą na walkę ich stada
 Ziemia się mogił pod kołmi zapada,
 Lub zdrajce — Co tam! Dolej mi węgryna!
 Piję za zdrowie zdrajcy, mego syna.
 A kiedy teraz w tym ostatnim łyku
 Czuję truciznę gorzką na języku,
 Uczynię sobie może usta słodsze,
 Mówiąc o zdrajcy tym i o tym łotrze.

Stałem na grobie Wielkiego Książęcia
 Śród drzew co krwią mi oddawały cięcia;
 A oto jakiś wóz przez lasy rusza,
 Powozi djabeł, czy stracona dusza;
 W ręku ma lejce z płomieni czerwone,
 A wóz prowadzą dwa węże zielone.
 Patrzę na gady, widok wcale nowy

Jak ogonami popychają głowy.
 Krzycząc na diabła Hej! hej! ta kareta
 Czy do najęcia? a na mnie woźnica
 Obróciwszy się jak błyskawica;
 To powóz mówi jest króla Makbeta. —
 Nie wiesz kto to jest ten król co ma żmije?
 Ja o nim pierwszy raz słyszę jak żyję. —
 Więc w niewinności chrześcijańskiej duszy
 Rzekłem do diabła: mój panie koniuszy
 Podwieź mię proszę dwie piekielne mile,
 Jeżeli ty chcesz i chcą krokodyłe.
 A djabł do mnie — uważ jaka zdrada!
 Djabł powiedział mi: niechaj pan siada.
 Siadam; i dalej po zakrętach góry
 Galopowały zielone jeszczeury.
 To po kamieniach, to się we krwi ślizga,
 To ognistemi wóz falami bryzga.
 A ja choć czujny jak zając na zdradę
 Haniebny zwyczaj mam chrapać gdy jadę.
 Więc senna głowa na piersi mi spadła,
 I śpię — i dusza ze mnie się wykradła,
 I poleciała sobie w lata młode
 Pod jakieś wierzby, co płaczą nad wodę,
 Nad jakieś wody co się całe śmieją
 Gdy róże księżyc poranny zaleją.
 Widzę małego Dantyszka psotnika,
 Jak tam gołębia wypuszcza wabika;
 A ptak powraca drugim lasu brzegiem,

I obsypuje mię gołębi śniegiem!
 A choć to kradzież, to jako anieli
 Myłem się w ptaszków pokradzionych bieli;
 I różany się chłopczyk śmiałem ładnie,
 Jak ten co narcyz aniołom ukradnie.
 Senny, gołębic owiany szelestem
 Budzę się — Jezu Maryo! gdzież jestem?
 Cwałują węże w ognistej hołobli,
 Po błotnem polu, po okropnej grobli.
 Jako kamienie obmyte na rosie,
 Po obu stronach trupie głowy skrzą się;
 Rzecz godna dziwu, że z twarzycą krwawą
 Był trup na lewo, a biały na prawo.
 I tak w kałużach smętnych utopieni,
 Trupowie biali, trupowie czerwieni;
 Wszystko się kręci w oczach i przestrasza,
 Już chcę wyskoczyć, chwytam się pałasza:
 A mój przewodnik: jakie masz rachuby
 Spytał: śród sejmu grząść? czy między kluby?
 Jezu! krzyknąłem: więc tu ich jak liści?
 A to posłowie są? a to — klubiści?
 A za cóż ty ich Boże tak potopił? —
 Nic nie rzekł djabeł, ale węże skropił,
 Lecz i świszczą drży grobla z piszczeli.
 Patrzą przed siebie — O! święci anieli
 Ogień piekielny przedemną, już piecze,
 W ogień mię wieczny ten haniebnik wlecze;
 Pędzi—chcę krzyżeć—was mi biały swędzi—

Chcę krzyczeć — głos mi zastyga — on pędzi
 I urąga się ze mnie winowajca:
 Patrzę—O! Boże mój! — To syn mój zdrajca.
 Już w płomieniste ubrany obłoki
 Patrzy się na mnie, syn mój jednooki;
 Okropnie hańbą splamiony na twarzy;
 Śmieje się głośno że mię w ogniu zwarzy,
 Że resztę włosa, co miał kolor stali,
 Na mojej głowie pobiełił i spali.
 Śmieje się, leci w przeraźliwym pędzie.
 O! nie, krzyknąłem: zdrajco! tak nie będzie!
 I wydobywszy złotego szkaplerza
 Wiążę mu szyję, piorun krwi uderza,
 Pali, wyrzuca ognistemi ziarny;
 Wyszły wzrok biały na wierzch, język czarny,
 Z oczu się jedna wytoczyła śliza
 Wielka i umarł. Wyskoczyłem z woza
 Już rospalony jak gancarskie cegły;
 A węże z sinym trupem w żar pobiegły.

Przepadaj zdrajco ty! ohydny gadzie!
 Owco ty w białym zarażona stadzie!
 Ty coś mię zabił dwa razy ohydą!
 Ty drżąca dotąd w mojem sercu dzido!
 Przekleństwo moje jak piorun nie mignie.

Ale na ustach mi martwych zastygnie.
 A gdybyś w grobie twarz moją obaczył,
 Złękiesz się widząc że ja nie przebaczył,
 I śpię, i groźne otwarłem powieki,
 W grobie gdzie tyłu śpi cicho na wieki.
 Lecz ja sen mogił na przekleństwach spędzę,
 Z duszy uczynię krwawą zemstę jędzę,
 I biegnąc! biegnąc za tobą jak mara
 Znajdę cię wężu choć na piersiach cara.
 Dawniej gdy były na honorze szczyerby,
 Albo ród gasnął, to łamano herby:
 To może jakiś trupi rycerz konny
 Wleci do gromnic przez jałowiec wonny,
 I na trumnie mi skruszy tarczę dumną,
 I w ziemię razem zapadnie się z trumną.
 Bo kiedy zdrajce honor rodu splamią,
 Nie ma imienia już — herby się łamią.

Sinego trupa, lecąc jak szalone
 W żar zatargały jaszczurki zielone;
 I zniknął — tylko coś — trzaskanie kości,
 Jak płacz wilgotnej na ogniu parości,
 Słyszałem blady wśród płomieni jęku. —
 Patrz! — Jam go kiedyś piastował na rękę!
 I całowałem go w oczka ogniste;
 Ja całowałem go niegdyś! O! Chryste!

Jakże od przekleństw do litości blisko!
 Zapatrzyłem się smętny w te ognisko,
 I było już na ustach: powróć synu!
 Obmyj się ty krwią szlachetnego czynu,
 Wymyj tę plamę jaką łzą czerwoną,
 I nie grzesz więcej i chodź tu na łono!
 Nie! nie! nie! czuję — o! ty krajo-bójca
 Ty tego nawet nie zrobisz dla ojca!
 Więc wieczny rozbrat z tobą o! szatanie!
 Boże mój wielki! o Boże mój panie!
 Jak ty mię dotknął między całym gminem,
 Jak ty mię moim ukarałeś synem.
 Oto zhańbiony o litość cię proszę,
 I smętne oczy do ciebie podnoszę.

Nie był to płomień co trząsał nędzniki;
 Ale jakoby lekkie śniegu płatki
 Błądziły jasne w powietrzu płomyki.
 A jako owiec zmoczonych gromadki
 Kiedy przed deszczem schronią się pod gruszę,
 Pod smętnem drzewem stały biedne dusze.
 A płomień się lał okropnemi rosy,
 I spływał trupom po drżących ramionach,
 I oczerwieniał boleśnemi włosy
 Te biedne, jeszcze na głowie w koronach.

Bo to królowie co na to nie dbali,
Że łyż kraj topią, że się w ogniu pali;
Byleby tron swój mieli z baldakinem,
Nie dbali co tam, jaki miecz nad gminem,
To więc i w piekle szukają kotary
Przed boleśnemi się zakrywać żary;
Ale na próżno, bo płomień ponury
Dotknął ramion, odziera ze skóry;
A gdzie upadnie na ciało tam tleje
Płatek ognisty, skrzy się i topnieje,
I gryzie ciało i kość, aż ją złamie.
Jeden trup spojrział przez płomień i ramię,
A obaczywszy moje oczy sine,
Mój kontusz, dziatek moich główki, minę:
Przelał się i padł krzycząc; jakiś mściciel!
A wiesz ty kto to był? — to król Stanisław.

Drzewa, płomienie, węże trupy, maryl,
Z drogi! do Boga chce Dantyszek stary!
A jeśli go Bóg z piekła nie wydźwignie,
Gdzieś jako kamień dumając zastygnie.
Coraz mniej światła, co raz większe próby.
W około widzę palące się groby,
W grobowiec trupy walą się jak kęgle,
Płomień je chwytą i pali na węgle;

A po spaleniu znowu w głębi dołu
Leży trup cały z białego popiołu,
I wszystkie członki jak za życia spoi;
A wtenczas się go ogień w grobie boi,
I z pod białego na desce człowieka
Z grobowca dwoma skrzydłami ucieka.
Pomiędzy mogił ognistemi sznury
Szedłem o królach dumając ponury;
Aż tu się jawi, z groźnemi przechwałki,
Jakiś trup w drobne pocięty kawałki,
I pozlepiany sztucznie krwią człowieczą;
Kawały ciała na nim brzęczą, skrzeczą.
A jak w złodzieja rękę worek krwawy
Szczękają trąc się o siebie sustawy.
Członków zaś wszystkich pozrastanych zbiegi,
Koralowemi oznaczone ściegi.
Widząc że ku mnie się haniebnym zbliża,
Zrobiłem ręką znak świętego krzyża.
On mi dłoń podał—wziąłem; — ramię pęka,
I w rękę, trupa została mi ręka.
Trup odskoczywszy, widząc że się trwożę;
Tyś mię obraził: krzyknął: na honorze!
Panie Leliwo, więc nie czas odwlekać,
Wybierz co wolisz? strzelać się czy siekać?
A ja zmartwiały i żółty jak drzewo:
To ty? krzyknąłem, coś miał za cholewę,
Zawsze kartelusz, albo pistolety,
Aby za honor, albo za kobiety

Strzelać w tę jeszcze nie zamkniętą bliznę
Którą szlachetny człek wziął za ojczyznę?
A i tu jeszcze jeżysz wasy krucze?
Pojedynkarzu — stój! ja cię nauczę!
Tak mówiąc z pochwy dobyłem szablicy
A trup przedemną posępny i cichy,
Ręką nie dobrze do ciała przyszytą
Wziął się za włosy, chrzescząc jak żyto;
I podniósł z karku skrzącą się oczyma
Głowę, jak człowiek co latarnię trzyma;
Myśląc że stary zleknie się nikczemnie
Twarzy co śmiała się w powietrzu ze muie.
Dobrze krzyknąłem: przy takiej latarni
Bić się będziemy jak duchowie czarni;
A jeśli taki ty ptaszek grobowy,
To pojedynek nasz będzie gotowy.
Tak mówiąc gniewem i zemstą zażarty,
Staję — w rękę mi warczy synek czwarty;
W samą pierś godzę, rzucam — od tej gałki
Rozleciał się ów trup w drobne kawałki,
I w różne ludzkie groby poupadał.
A płomień z grobów wybuchnął i gadał:
Dobrze zrobiłeś żeś się zemścił przecie,
Za nas pociętych w samym wieku kwiecie;
Wszyscy od jego polegliśmy bronni,
Ani z nas kwiatu ojczyźnie, ni woni,
Lecz dusze poszły w tę ognistą wodę
Z ciała naszego, skarżąc się że młode,

Zmuszone już iść i nigdy nie wrócić,
 Jak róże gdy im trzeba listki zrzucić.
 Dobrze żeś za nas się zemścił o! starcze!
 A pozwól jeszcze że ciebie obarczę:
 Mówił trupeczek jeden z tej gromadki —
 Pocałowaniem dla żałośnej matki,
 Której ubyło we mnie całe plemię;
 Powiedz jej starcze jak wrócisz na ziemię
 Że syn—Tu w ręce dwa razy zaklaskał,
 Ucichł i płomień w mogile go strzaskał.

Tak odprawiwszy straszny pojedynek,
 Widzę że jeden mi już został synek;
 Lecz cóż? — To Boga litości nie zmniejszy,
 Bo to najmłodszy, bo to najpiękniejszy,
 Matki kochanie i moja pieśczęta:
 Oczki błękitne a główeczka złota.
 Boleśna moja główeczka! kochana!
 Umrę — lecz główkę tą rzucę przed Pana.

I hej! Leliwa co trupy zabija,
 W piekle jak złota błyskawica mija.
 Ku panu Bogu prosty wziął kierunek,

Ale mu w głowie wre djabelski trunek,
 To nim ostygnie, kto wie co z nim będzie?
 Z drogi! Leliwa idzie w wielkim pędzie!
 Bo właśnie był wir, gdzie biedaczka dusza,
 Jeżeli wpadnie to rusza i rusza.
 Więc pan Dantyszek choć się bardzo smęcił
 Po swej ojczyźnie toczył się i kręcił.
 A w koło duszek zakreconych tłumi,
 Gwary, jęczenia, szelesty i szумы;
 Szare powietrze wichrzy się i miesza,
 Z trupami trupów roztrąca się rzesza;
 Zbiją się, zwichrzą, wezmą się za ręce,
 I znów się kręcą i znów się ja kręcę,
 I całe piekło jak w burzy i wichrze.
 Tu fale głośno płaczące, tu cichsze;
 Upiory dziewic z młodzieńcami w parach,
 Białe i smętne z różami w symarach,
 Patrzą! jak tu oman ze śniegu zamieci,
 Jakaś duszeczka kręcąca się leci;
 Serce mi drgnęło i warga pobladła;
 W otwarte ręce ta mara mi wpadła
 Chciałem na sercu odpocząć troszeczkę:
 Lecz wichur wyrwał mi z rąk tę dziewczeczkę:
 I dalej poniósł w piekła zakamarki.
 Z koszulą białą, pociętą na szlarki,
 Co się kręciła na niej jak dzwon biały.
 Poszła i wichry ją płaczu gdzieś wiały.
 A od niej młodość zapachła i zgniłość.

A taki smutek i przestach i miłość
 Wzięły mi stare moje serce w szpony;
 Żem był jak dziecko! żem był jak szalony.

Dawniej to nieraz za Legijonistą
 Strzelano czarną zrenicą, ognistą;
 Dawniej! o! dawniej!—Czy znasz ty wygnańcze
 Ziemię gdzie rosną mirt i pomarańcze?
 Tam ja błdziłem. A cóż się dziś chwalić,
 Ze łatwo serce w dzieweczkach rozpalić!
 To i ta biedna, do kruczych warkoczy
 Tuliła moje zadumane oczy;
 A gdym ja wołał ojczyzny: ta pusta
 Jasne jak róże dawała mi usta;
 A jam się na nich uwieszał namiętny,
 I zakochany i dumny i smętny. —
 A dziś ją taki wichher płaczu goni!
 Czekaj!—Chcę jeszcze raz pomyśleć o niej,
 Jeszcze raz tylko, aż te dwie łzy pękną. —
 Ona tak była urodziwą, piękną!
 I patrz—pamiętam—Bogdaj mię pożarła
 Pamięć—Pamiętam ten dzień gdy umarła.
 Na marach białą złożyli dziewicę;
 A matka wzięła okropne nożyce,
 I w szlarki cięła jej koszuli rąbki,

Aby nie było co kraść z tej gołąbki.
 Oh! bo tam kradną ludzie w tamtej ziemi,
 I wstydzą trupy z piersiami białemi:
 Och! bo tam nędza co w grób jeden rzuca
 Na pierś dziweczki, suche starca płuca,
 Albo dzieciątko śmiercią tajemnicze
 Co pada jak ssać, na piersi dziewicze.
 To niech przynajmniej ciało łzami myte,
 Będzie w tym grobie koszulą okryte:
 Koszulą taką co kusić nie będzie
 Złodzieja, w pióra pocięta łabędzie.
 Tak jak ją ubrały ręce rodzicielskie
 Myślałem patrząc: że w skrzydła anielskie.
 A ta wyrwała się z grobu jak mara,
 I rozsypała się na niej symara;
 Pierzchła jak gołąb, dotknęła mi kości,
 Owiała wonią trupa i młodości;
 Trąciła wichrem spruchniałej bielizny,
 I wichrem żalu, starca bez ojczyzny.
 Czegoż ty chciałaś martwa szalenico?
 Maryo moja! moja gołębico!
 O! Florentynko ty moja! ty spiąca
 Tak cicho niegdyś przy blasku miesiąca
 Kiedy cię moja smutna dusza strzegła;
 Czemuś ty z grobu w tych szlarkach wybiegła?
 I jak pieniążek kręcisz się nikczemnie?
 Maryo! czegoś ty chciała odemnie?—
 Oczki jej były jak te niebo w górze,

Usta — perlami wysadzone róże;
 Do niej podobna ta dziewicza brzoza
 Taka wstydliva—a teraz? O! zgroza!
 Módl się! a nie drwij że łzy lecą duże
 To i nam starcom niegdyś pachły róże!
 A po nas innym zapachną i zwiędną;
 Tylko je trzeba rwać ręką oszczędną,
 To chociaż serce tam burza skłopotą,
 Miłą mu młodość temi kwiaty złota.
 A pod ich wonią łeb siwy się chyli,
 Gdy księżyc błysnie, a słowik zakwili.

O! Boże! Boże! jaka twa opieka
 Jest tam w młodości nad sercem człowieka?
 Gdyby pomyśleć, to już tyle razy
 Miało czym zwiędnać — lub stać się jak głazy:
 A nie! i patrzaj! z włosami białymi
 Czuję mojego serca woń na ziemi;
 I żywość jego — bo niech kto poruszy
 Honoru mego, ojczyzny, lub duszy;
 Niechaj spróbuje wydrzeć mi nadzieję.
 A padnie trupem i krew go zaleje.
 Lecz kiedy starca w pokoju zostawia,
 Z włosem się jego białym wróble bawia;
 Spokojny w smutnem zadumaniu stoi;
 Jelonek się go bez matki nie boi.
 A gdy myśliwiec jakiej białej łani,
 Pobije dziatki, i samą porani,

Przychodzi oczy do starca podnosi
Skarzy się matka i o litość prosi
A nie myśl, nie myśl że to są zmyślenia;
Widziałem oczy błękitne jelenia,
I zadziwiła mnie jego odwaga,
I ufność w starcu i łez szklistych waga.

Ty powiesz teraz że starzec majaczy.
I czeka w sobie aż znów co zobaczy.
Nie tak zaprawdę się ze starym dzieje,
W nim wiecznie lampa czarodziejska tleje,
I tęcza blasków wiecznie w głowie świta,
A w sercu wiecznie ojczyzna zabita.
To choć pomyślał o młodości złotej,
Powróci znowu w serce dźwięk zgryzoty.
Nie będzie zawsze jak ci co sie smuć,
Po różach które zwiędły i nie wrócą.
Ale raz westchnie za wszystkim co było;
A potem znowu jak krzyż nad mogiłą
Uświęcający grobowce posępne,
Czoło pamiątkom wzniesie niedostępne;
A pełne tylko nadziei i wiary.
Bo się przekonał że to w świecie — maryl!
Że nic tam nie ma w krajach podślonecznych
Godnego serca i łez jego wiecznych.
A wszystko wiotkie, tak zrobione może

Aby się jako liść zmieniało w borze;
 Aby te wichry nieszczęścia i czasu
 Miały czem smutnie szumieć w głębiach lasu.

Im dalej idę to coraz mniej zgrai,
 Każdy się z męką swoją jak wąż tai.
 Albowiem blisko u wierchołka góry.
 Największe zbrodnie, najstraszniejsze chmury;
 I największemi są łzami wilgotni
 Zbrodniarze wielcy, krwawi i samotni.
 Idąc na górę mówiłem do siebie:
 Gdzież ~~są~~ więc zdrajce ojczyzny? czy w niebie?
 Oto był rodzaj trupa wszelakiego,
 A z wielkich zdrajców nie było żadnego?
 Czy się ubrali wilki w owiec wełnę?
 Bez nich, mój Boże! te piekło nie pełne;
 Bez nich tu braknie płomieniom ozdoby,
 Na nich wołają z pod ziemi te groby.
 Ledwom wymówił: o! rzecz nie do wiary!
 Ręka zwyczajnej jakby ludzkiej miary
 Na krwawym słupie przybita, krwią ścieka,
 I pokazuje w ciemności zdaleka
 Jakąś ohydłą rzecz — czoło człowieka.

Siedział w podziemnej utajony grocie
 Oddany strasznej jędzy w straż — zgryzocie.

Włos najeżony strachem winowajcy
 Wstał na haniebnem bladzie czole zdrajcy.
 I straszne w oczach było przerażenie,
 Albowiem w grocie jęczały kamienie.
 Wichry napędzał mu przez korytarze
 Błąkające się ognie, trupów twarze;
 A zaś oblicza i sine ogniska
 Szły przypatrywać mu się — stojąc z bliska.
 Między ogniami co przyszły na straże,
 Krwią osykany przez upiorów twarze,
 Jak człowiek własną uznający winę
 Pokornie krwawą ich ocierał ślinę.
 A kiedy jęki ozwały się w grobie,
 Do ust po kostki wkładał ręce obie,
 Widać miał w bólu słuchowi obronę,
 Bo gryzł — i z paszczy wyciągał czerwone.
 Już chciałem uciąć szablą te ręce
 Krwawe jak szpony orle, lub zwierzęce,
 Nie zemstą ale litością ruszony:
 Gdy nagle biała mara jego żony
 Wybiega, kłeka, i oczy podnosi:
 I tak na rany Chrystusowe prosi. —
 Panie! ty ojca mego masz lice
 I taki kontusz i taką szablę;
 Więc ci aż do nóg boleśna upadnę,
 I do serca się twego łzami wkradnę;
 I w niebie mojej ustąpię światłości,
 Za jedną nad nim tylko łzę litości

Słuchaj! ja niegdyś utopiona w stawie;
Teraz jak mara — jak błędne żórawie
Ciagle ja latam i ciągnęła mi droga
Od gwiazd do męża, od męża do Boga
A jeszcze biedna nie mogła wyjęcie
Aby go jęki te przestały dręczyć.
Bo cała tutaj ojczyzna zabita
Przychodzi płakać i jęczy i zgrzyta,
I wali głuchą przekleństwa ulewą
Na mego męża, jak na zwiędłe drzewo
Cała ojczyzna i wszyscy umarli
Tutaj przychodzą aby go rozdarli.
O! jakie serca wy macie tygrysie!
O! jak ojczyzna wasza długo mści się!
I czyż tak będzie od wieku do wieku?
Wyproś ty dla nas litości człowieku!
Wyproś! ja będę modlitwom przytomną?
Jeśli przebaczyć nie chcą — niech zapomną?
Jeśli ich nasza męka nie rostkliwi
Niech myślą że my byli tak—szczęśliwi!
Od nas niesione błękitami wody
Pary łabędzi uczyły się zgody,
Od nas uczyły się śnieżyste szyje
Chować pod skrzydło te, gdzie serce bije
Słońce lubiło zaglądać w aleje,
Gdzie na nim niegdyś moja postać mdleje;
Po kwiatach wietrzyk biegł i czoło chłodził
I księżyc prędzej na niebo przychodził.

A ja spojona szczęściem i rozrzutna,
 Każdą mu gwiazdę co wschodziła smętna
 Lubiłam dawać, jak dziecinka pusta,
 I każdą jego nazywać imieniem:
 Bo mię za każdą on całował w usta.

Starcze! pogadaj ty proszę z sumieniem!
 Bo mi się zdaje tonącej w rozpacz
 Że ty przebaczysz i Bóg nam przebaczy. —

Tak mię prosiła: a na głos słowika
 Serce się ludzkie choć stare odmyka.
 Patrz! o! bielutka! patrz, o pochlebница!
 Twój kontusz mówi: i twoja szabliba
 Z ojcem ci moim podobieństwo dały;
 O! ty litośny! o ty nie ze skały —
 Jakże się ostać przed takimi proźby?
 Twarzą już tylko udawałem groźby,
 A już mi serce kruszyło się, miękło,
 Już nad nią dwie łez roztopionych pękło,
 Już wyciągałem ręce — wtem ta blada
 Leci do męża na serce mu pada.
 A nędzarz blady jak płócienna chusta,
 W jej piersi, oczy pochował i usta.
 Patrzą — o! zgroza z pod kruczych warkoczy
 Wstażeczka się krwi koralowej toczy,
 I plami narcys ten litości srebrny!!

On ją ukąsił—zbrodniarz! o! haniebnym!
 Jęła, i nagle od ssącej gadziny
 Pierś oderwała. A trup blady, siny,
 Oczy zbłąkane obraca w około,
 O niczem niewie te haniebne czoło,
 Nigdy się oczy nie łzawią zielone:
 A jednak spojrział na krew i na żonę,
 I wyszły z oczu mu dwie łyż tułacze!
 Wyszły — a piekło wrzało: zdrajca płacze!
 Tu zadziwieni ciemni aniołowie,
 Zaczęli śmiać się i wyć mu na głowie.
 Tu się tajemnie rozjęczały ściany;
 Tu wyszły plamy z ognia, tu szatany.
 Wszystko co było w gmachu i za gmachem
 Wabi się tych łez ohydny zapachem;
 Tu wzrok płaczący, tu wzrok widać sowy
 Uragający zdrajcy lamentowi.
 A jeszcze dalej duchowie zaskalni,
 Z po za ścian, słychać, płaczą, niewidzialni.
 Chwieje się piekło, wre krzykiem i łzami.
 Uciekłem, uszy zakrywszy rękami.

Widziałem rzeczy straszne i żałobne,
 Widziałem ludzkie do węzów podobne
 I zrastające się ich ciała z gadem:
 Ale ten zdrajca ośliniony jadłem,

Ale ten własne gryzący piszczele,
Ale ten blady w lamentów kościele
Oplwany całą krwią zdradzoną w oczy;
Ale ten straszny co psim zębem broczy
Białą pierś żony, i bolem się żywi;
A gdy zapłacze — to piekło zadziwi:
Ten jeden z myśli mi trupy wygonił,
I zadziwiłem się żem łzę uronił.
O! bo to sercom Polaka nie trudna
Przebaczyć ręce, co krwią naszą brudna;
Przebaczyć zdrajcy prochom i mogiłom,
Zapomnieć nawet: a to jeden wyłom
Zrobiony ręką ich w kraju budowie,
Położył gruzy nam całe na głowie;
A to więc mieczem ich podcięta jodła
Uchła i mieszka w niej gadzina podła.
A choćby i znów powstał lud z rospaczy,
Któż Polskę taką jak była zobaczy?
Czy jaki rycerz ścięty od zawoja
Na zmartwychwstałą powie: matka moja
Czy jaki z grobu wywołany miecznik
Pozna ten blady dzisiejszy słonecznik,
Co za nowości gwiazdą się obraca?
Lud z takim sercem po śmierci nie wra ca!
A gdzież są dzisiaj te pany w żupanie
U których w sercu cnot na króla stanie?
A gdzież niewiasty co synowskie ciało
I zgon, nie nadto ani też za mało

Umiały płakać gdy legł za ojczyznę?
 O! dajcie mi krwi ojcowskiej, niech bryznę
 I zwalam twarze dziś białe i ciała!
 Bo krew w nich płynie jak w gadzinach biała;
 A nie tak ważną jak ojcowie głowę,
 Ni takie serca mają bursztynowe;
 Lecz wszystko jakoś popsuło się, zgniło,
 A lud już strupiał, a kraj już mogiłą.

Nie budź!—Bo jestem smutnie zamyślony
 O straszne oku piekielnej korony.
 Widzę jak gwiazda okropna sumienia,
 Z góry wieżycę trupów opromienia. —
 A jako okno gdzieś po nocy w sali,
 Od czerwonego księżyca się pali,
 I opłomienia łoża królów ciemne,
 A w sny ich trwogi rozrzuca tajemne:
 Tak owa gwiazda nad piekłem szkaradnie
 To zaczerwieni się, to znowu bladnie,
 I znów za obłok zachodzi ponury,
 Za jakieś ciemne i skrwawione chmury.
 A gdy się krwiami napoi ta chłodna,
 Z po za chmur jasna wychodzi, pogodna,
 Otwiera usta i jakoby z płuca
 W ciemne przepaście, krwi piorunem rzuca.

Tam gdzie kończyła się piekielna skała,
 Spiorunowanych krwią widziałem ciała.

Już blisko Boga — patrzę — trup człowieka
 W ciemność od gwiazdy sumienia ucieka,
 Ucieka—z czołem na nią obróconem,
 W złotej koronie, i w płaszczu czerwonym.
 Za nim—o! horror! niewieście gromady
 Trup nań rzucają maleńki i blady,
 I kamienują czerwoną gadzinę
 Powietrze blade od trupków i sine.
 Deszczem nań leją z ramion rodzicielskich.
 Mogiły smętne, pagórków anielskich.
 Jakby niechętne trupki, jakby senne,
 Gołębi stadem lecą przez Gehenne.
 A dłoń to matek co je tak umyślnie
 Rzuca na trupa — nim rzuci — uściśnie
 Pożegna wprzód i łzami opryska,
 Potem za nóżki zakreśli i ciska.
 Wartkie jak kamień, sine jak ze stali
 Leci dzieciątko i w purpurę wali,
 I kości trzaska na trupie szkaradne.
 Patrz! patrz! o zgroza! dzieciąteczko ładne
 Z ziemi podnosi trup, za nóżki chwyta,
 Broni się matkom, a broniąc się zgrzyta.
 Ukłękł nareszcie — a trupiemi ciała

Tak ukłękłego zakamienowały
 Matki po dzieciach płaczące żałośnie.
 Grobowiec na nim straszny, śniady, rośnie.
 Trupki się kładą przy trupkach w girlandy;
 Już urosł kurhan jak mogiła Wandy.
 I jeszcze kładną się przy duszkach duszki,
 I urosł jak mogiła Kościuszki
 A gdy był wielki; krzyknąłem o! Boże
 Ja stary, pieczęć na grobie położe
 By nie zmartwychwstał

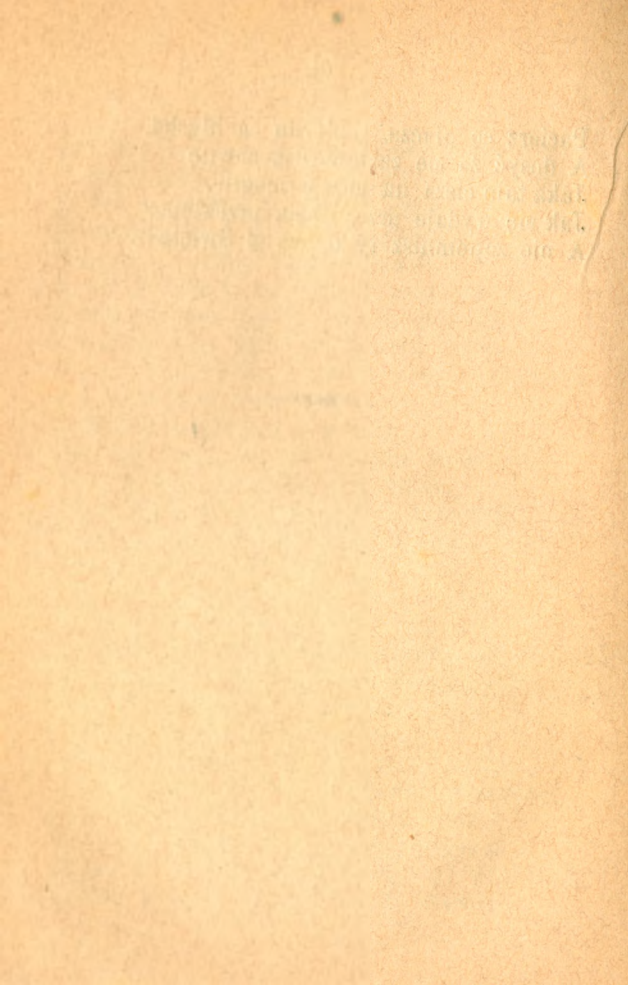
Ej dosyć! już dosyć!

Mamże ja Boga wielką litość głosić?
 Czy się przeklinać stary człowiek smutny,
 Że byłem trupków pieniądzem rozrzutny.
 To więc jest Polak — dobra jego sprawa,
 Krwawe zaczęcie i osnowa krwawa;
 Lecz kiedy przyjdzie dobić aż do końca,
 To wstydzić się mu księżycą i słońca.
 Ej! ale ziarno się nie darmo sieje,
 To i tam w końcu coś widać — nadzieję . . .
 Smutna to lampa i nocnego ptaka,
 Lecz i ta dobra nad grobem Polaka.
 To więc chodź ze mną aż na trupów górę,
 Klęknij, wzniesь oczy w tę gwiazdę, w tę chmurę,
 Bóg za nią — klękaj! niech się twarz nie bieli,
 A cóż że z gwiazdy piorun krwi wystrzeli,
 Klękaj! — To niech się wola Boska stanie!

Lecz my przysiężmy że kraj zmartwychwstanie;
A przysiężemy — to zmartwychwstać musi
A cóż że powróż proroka udusi?
Że może ściętej głowie nie pozwolią
Spocząć na sercu zabitem niedolą?
A cóż że wnuki łąą kwiaty pokropią
Kiedy nie pełny grób starców odkopią
I znajdą tylko tam bez czaszki, ciała.
To co? — powiedzą — głowa zmartwychwstała
I aniołowie strażnicy tej bryły
Wylatującą widzieli z mogiły,
Gdy piorunami się noc smętna zmierzchła
Wylatywała jak gołąb i pierzchła.
A gdy z aniołem co smętnych prowadzi,
Wygnańce nasi będą wracać bladzi,
I rozpoznawać podobieństwo gładów:
Z pomiędzy białych narysów i ślazów,
Niech wtenczas smutne oczy napotyka
Kwietny grobowiec, starca męczennika
O! Polsko! Polsko! Święta! Bogobojna!
Jeżeli kiedy jasna i spokojna
Obrócisz twoje rozwidnione oczy
Na groby nasze, gdzie nas robak toczy;
Gdzie urny prochów pod wierzby wiosenne
Skryły się dumać jak łabędzie senne;
Polsko ty moja! gdy już nieprzytomni
Będziemy—wspomnij ty o nas! o! wspomnij!
Wszak myśmy z twego zrobili nazwiska,

Pacierz co płacze, i piorun co błyska.
A dosyć że się zastanowisz chwilę
Jaka tam cisza na naszej mogile,
Jak się wydaje przez Boga przekłeta;
A nie zapomnisz ty o nas o! Święta!





PRZYPISY.

Opowiadanie Dantyszka o piekle, natchnięte niby echem dalekiem Danta, napisane w ojczyźnie tego księcia ponurych wieszczów; kontuszem Leliwy odstrychnęło się od oryginału i wzoru; stawszy się więcej rubasznem i polskiem. Kontusz zaś, ten wiele myśli wygnał. wiele opisów skrócił, a nawet często zwięzłości potrzebnej w wyrażeniach nie pozwolił; zamiast zaś rozpraw teologicznych Danta, przymusił autora do użycia tej prostej filozofii, która tak pięknie rozjaśniła niegdyś wiersze Jana Kochanowskiego: przyłączyło się tylko do niej trochę melancholii, nieznaney szczęśliwym przodkom naszym. Powiedziawszy te słów kilka o całym poemacie; przystąpię z oszczędnością do wyjaśnienia niektórych szczegółów i obrazów.

Str. 18. w. 28. *Dla wszystkich płynie fontanna młodości.*

Miedzy pięknymi urojeniami wieków średnich było mniemanie, że gdzieś na ziemi w pustyni, wytryska źródło z którego pijąc odzyskać można młodość. Marko-Polo, szukał tego źródła jadąc do wielkiego Khana. Minstrelowie prowancyi często o tej wodzie w pieśniach wspominają; a dziś jeszcze nieraz Arab wypuszcza konia na pustynię i zagłębia się w piaski, w nadziei że na fontannę młodości wiecznej natrafi.

Str. 41. w. 19. *Świecznikiem była.*

W twarzach trupich węży, które stoją na trupie Katarzyny i palą się na włosach, czytelnik możeby ujrzał podobieństwo do Potemkina, Zubowa i innych gachów tej nierządnej. Przez prędkość, Dantyszek zapomniał węże nazwiskami ludzkiemi ponazywać; jako też powiedzieć czytelnikowi: że Katarzyna starająca się długo pochlebstwem u Woltera i innych, aby ją za światłą pochodnią cywilizacyi na północy okrzyczeli: po śmierci hołd ten odebrała od zdrobniałego Danta w kontuszu.

Str. 29. w. 8. *I szczeknął do mnie że to Erywański.*

Przez patryotyzm zapewna go Dantyszek

Księciem Warszawskim nie nazywa; a dziwić by się powinien że zeń wyjęto serce, on go nie miał.

Str. 31. w. 10. *Plwaj bo to Suworów.*

Za nadto dumną i posępną ma karę ten człowiek który za życia miał srogość lwą z postacią małpy. Wiersze jego do Katarzyny po wzięciu Izmałowa, w których na skrwawionej karcie imie tej carycy tak bezbożnie z imieniem Boga połączył; a lepiej jeszcze maluje jego małpią i szatańską duszę następująca anegdota. Podczas rzezi Pragi ujrzał Suworów jendyka skałeczonego, który gdzieś z zakrwawionego domu, krwią ludzką i swoją okryty, kulejąc uciekał: „O! biedne stworzenie! zawołał patrząc na ptaka wódz moskiewski: dla czegoż ty niewienne masz mieć udział w nędzy i w nieszczęściach ludzkich?” po takiej patetycznej przemowie zwołał swego lekarza, kazał mu owego ptaka opatrzyć i pilne o nim mieć staranie. A gdy się to działo trwała rzeź i ludzie umierali.

Str. 41. w. 7. *Krwia leją, krzyczą: stój! my samobójce.*

W Dancie jest podobnież las w którym drzewa gadają i mieszczą w sobie dusze samobójców... Dant naśladował z Wirgilijusza;

z Danta zaś Tass i Ariost naśladowali zamykając mary w cyprysach. Kładę tu kilka wierszy dosłownie prawie z Danta tłumaczonych, abym o zupełną kradzież literacką nie był posądzony.

A pień zaś krzyknął... Czemu ty mię łamiesz?
 Tu znowu ucichł i na ranę białą
 Krew czarna wyszła z kroplami z parości.
 I znowu krzyknął: Czemu rwiesz mi ciało?
 Człowieku! nie masz ty w sercu litości!
 Byliśmy ludźmi, dziś drzewami piekła:
 Lecz czyliż przeto dłoń twoja tak cięży?
 Czyliż nas łamać i karcieć ma wściekła
 Choćbyśmy w korze miały dusze węży?...
 Jako gałązka gdy z liściem ucięta,
 Kiedy ją ogień od końca kaliczy,
 To drugą stroną skarży się i syczy;
 A wilgoć razem z powietrzem zamknięta,
 Płaczliwie z ciasnej wymyka się więzi:
 Tak właśnie z owej uciętej gałęzi,
 Krew ze słowami jedną wyszły drogą.
 Rzuciwszy gałąź stałem zbladły trwogą... etc.

Las Dantyszka napełniony jest zapewne duszami oficerów, którzy zhańbieni przez W. Księcia szli zabijać się w Saskim ogrodzie i strzałem pistoletowym często płoszyli słowiki

spokojnie w ciemnych kasztanach zamieszka-
 łą. Znajome jest mieszkańcom Warszawy
 wzgórze i urna kamienna, oblana nieraz krwią
 tych nieszczęsnych

Str 44. w. 3 *Oddzieram płótno, ciało się
 oddziera.*

Centaury tratujące Wielkiego Księcia nie
 znani są z nazwiska Dantyszkowi nieświadom-
 memu rzeczy mitologicznych, również nie wie-
 dział że płótno nakrywające trupa jest koszulą
 Dejaniry, którą raz wdziawszy z kawałkami
 ciała oderwać tylko można było od kości.

Str. 50. w. 17. *Nie ma imienia już, herby
 się łamią.*

Posepna i poetyczna ceremonija u dawnych
 Polaków łamania herbów po wygaśnięciu ja-
 kiej familii, odbywała się w kościele, do któ-
 rego wlatywał rycerz konny i drzewcem w tar-
 czę uderzał. Po śmierci Hetmana Branickiego
 odbył się ten obrzęd podobno po raz ostatni.

Str 58. w. 15. *I rozsypała się na niej symara.*

W narodach które już zniewieściały albo
 wcale nie mają ogzystencji politycznej, dziwna
 jest objętość względem umarłych I tak
 w Toskanii nie znajdzie podróźny tych cmen-
 tarzów które taką wonią kwiatów obwiewają

wzgórza miasteczek Niemieckich. Bogatsi Toskańczycy chowani są pod zimnemi murami kościołów, ubożsi zaś wywożeni o cztery mile za miasto na cmentarz zwany Trespiano i rzućani razem bez trumien w jeden grobowiec który co dnia piętnaście ciał pożera. Hamleta trzeba nad takim grobem! Hamleta, któryby Ofeliją swoją widział pomieszaną z ohydną zgrają umarłych, w jednej mogile. Z tego zwyczaju Florencji urodził się zapewne ów wymysł matczynej czułości, godny prawdziwie serca jaskółek: że kiedy jakie biedne ciało dziewicze lub dziecięce przymuszone są powierzyć czarnym grabarzom Trespiano—bojąc się aby go chciwi ludzie przed rzuceniem w dół z ostatniej koszuli nie obnażyli — ubierają martwego w długą białą symarę i pod fałdami rościnają te szatę w długie aż do dołu wstążki; tak że się wydaje całą, a złodziejom już na nic przydatną być nie może. Biedny Dantyszek, będąc jeszcze żołnierzem legionistą i wygnańcem, nie miał zapewne dość grosza aby dziweczkę swoją w Santa Croce obok Danta pochować i musiał ją na równinie Trespiano zostawić. — Jeżeli który z wojażerów rozculi się nad przygodą złotej młodości Dantyszka, niechaj zmówi Ave Maria przejeżdżając około cmentarza gdzie leży ta

piękna, siostra może Fornariny. Dziwny cmentarz — na którym krzyż tylko jeden stoi pośrodku i otwiera bolesne ramiona, a pod nim i w około żadnej nie widać mogiły, lecz ziemia gładka, runem niby wiosennem okryta i zielona, i co dnia dół jeden czarny, wielki, otwarty czekający na umarłe.

Str. 63. w. 1. *Słuchaj ja niegdyś utopiona w stawie.*

Leliwa nie wymówił nazwiska zdrajcy, ale powyższy wiersz pokazuje, że ci oboje widziani w piekle są ci sami o których jest rzecz w cudownym poemacie Malczeskiego. O parze tych małżonków czytałem także w manuskrypcie piękną tragedję, którą napisał Korzeniowski. Wspomniawszy o tym pisarzu muszę tu wyjawic moje zadziwienie, że go Polska dotychczas tak mało zna a stąd i nie dosyć ceni — przez taką obojętność gotuje sobie wyrzuty sumienia na przyszłość, kiedy już poetów nie będzie.

Str. 68. w. 12. *Mogiły smętne pagórków anielskich.*

Na cmentarzach w Litwie osobne jest wzgórze przeznaczone na grzebanie maleńkich, i nazywa się: górką Anielską.

Str. 69 w. 1. *Tak ukłękłego zakamienowuły.*

Czytelnik domyśli się że tu jest mowa o Mikołaju. A Dantyszek mógłby powiedzieć, jak Dante, umieszczający w piekle człowieka żywego jeszcze — że Car widzialny na tronie znikomą jest tylko marą i trupem już, a prawdziwie zaś z duszą swoją umarł i znajduje się w piekle. Twierdzenie to Danta, tak przerażało ową żyjącą jeszcze podówczas osobę, że sama zaczęła wierzyć w dwojaką swoją istność, i bać się o rzeczywistość ciała swego na ziemi. Okropny sceptycyzm! —

Str. 69. w. 15 *Że byłem trupków pieniądzem rozrzutny.*

Obwinia siebie Dantyszek że uniesiony mściwością, rozrzucił swoje działki po piekle, i żadnej główki nie doniósł przed Boga; a nie powiada czy sam doszedł aż do nieba. Sądzić by więc należało że ustał na siłach i wrócił na ziemię nie dokonawszy zamiaru. Bo inaczej skutek jego skargi to jest litość Boska uczulibyśmy nad sobą.

KONIEC.



	Centów.
30. <i>Zieliński G.</i> Kirgiz, powieść	15
31. <i>Słowacki J.</i> Anelli	20
32. <i>Lenartowicz T.</i> Szopka, 2 części	25
33. <i>Krasicki J.</i> Bajki i przypowieści, wyd. zupełne	20
34. <i>Kochanowski J.</i> Treny	10
35. <i>Anna z Podgórze.</i> Z podróży po Europie	40
36. <i>Morgenbesser.</i> Obrona Sokołowa	50
37. <i>Goszczyński S.</i> Zamek Kaniowski, powieść	35
38. <i>Krasicki J.</i> Myszeis, poemat humorystyczny	20
39. <i>Słowacki J.</i> Lilla Weneda	20
40. — Balladyna	40
41. <i>Niemcewicz J. U.</i> Spiewy historyczne	35
42. <i>Goszczyński.</i> Sobótka	15
43. <i>Kochanowski</i> Szachy i <i>Mickiewicz</i> Warcaby	15
44. <i>Foe Daniel.</i> Robinson Kruzoe	30
45. <i>Goszczyński.</i> Straszny Strzelec	15
46. <i>Brzozowski Karol.</i> Noc strzelców w Anatolji	30
47. <i>Krasicki J.</i> Satyry	30
48. — Monachomachja i antimonachomachja	20
49. <i>Goszczyński.</i> Oda, powieść	20
50. — Anna z Nabrzeża, powieść z 17. wieku	35
51. <i>Skarga P.</i> Wzywanie do pokuty	20
52. <i>Brodziński K.</i> O narodowości Polaków	20
53. <i>Malczewski.</i> Marja	15
54. <i>Słowacki J.</i> Poema Piasta Dantyszka o piekle	20
55. <i>Lenartowicz T.</i> Lirenka	20
56. <i>Słowacki J.</i> Jan Bielecki, Grób Agamemnona	10
57. — Książd Marek	20
58. <i>Lenartowicz T.</i> O polskim naczelniku Kościuszcze i o Racławickiej bitwie	20
59. <i>Słowacki J.</i> Mazepa	20
60. — Marja Stuart	20
61.—72. <i>Śpiewnik polski.</i> Pieśni patryjotyczne	20
73. <i>Rozenblatt.</i> Pojedynek	20
74. <i>Słowacki J.</i> Żmija	20
75. — Lambro	20

47265

- | | | |
|-----------|--|-----|
| 76. | <i>Słowacki J. Hugo</i> , Mn | |
| 77. | <i>Feliński. Barbara</i> Radz | |
| 78. | <i>Krasicki I.</i> Wojna cho | |
| 79. | <i>Klonowicz. Flis</i> | |
| 80. | <i>Szymonowicz. Sielanki</i> | |
| 81. | <i>Morgenbesser. Palestra</i> | |
| 82. | 83. <i>Szyller. Wilhelm T</i> | |
| 84.—86. | <i>Spiewnik polski. Piosnki pedagogiczne.</i> | |
| 87.—88. | <i>Zimorowicz J. B. Sielanki</i> | 40 |
| 89. | <i>Zimorowicz Szymon. Roksolanki</i> | 20 |
| 90. | <i>Hausner Otto. O pojedynku</i> | 20 |
| 91. | 92. <i>Słowacki. Książę niezłomny</i> | 40 |
| 93. | 94. — <i>Sen srebrny Salomei</i> | 40 |
| 95. | 96. — <i>Beniowski</i> | 40 |
| 97. | — <i>Król Duch</i> | 20 |
| 98. | — <i>Wacław. Poezje ulotne</i> | 20 |
| 99. | <i>Morgenbesser. Myślący Burmistrz</i> | 20 |
| 100. | <i>Goszczyński. Wspomnienia z czasów wojny narodo-
wej polskiej 1831 r. i Sonety wojenne</i> | 20 |
| 101. | <i>Rodoć M. Satyry obyczajowe</i> | 20 |
| 102. | <i>Syrokomla. Jan Dęboróg</i> | 20 |
| 103. | — <i>Szkolne czasy</i> | 20 |
| 104. | — <i>Zgon Acerna</i> | 20 |
| 105. | — <i>Wielki Czwartek</i> | 20 |
| 106. | 107. <i>Spasowicz. Władysław Syrokomla</i> | 40 |
| 108. | — <i>Wincenty Pol</i> | 20 |
| 109. | <i>Gosławski Maurycy. Piosnki Ułana polskiego</i> | 20 |
| 110.—115. | <i>Rey Mikołaj. Żywot człowieka poczciwego</i> | 130 |
| 116. | 117. <i>Klonowicz. Worek Judaszów</i> | 40 |
| 118.—120. | <i>Niemcewicz. Lejbe i Sióra 2 t.</i> | 60 |
| 121. | 122. <i>Kopeć. Dziennik podróży po Syberji</i> | 40 |
| 123.—127. | <i>Pasek. Pamiętniki z XVII wieku</i> | 1.— |
| 128. | <i>Finkelhaus. Z podróży po Norwegji</i> | 20 |
| 129.—133. | <i>Niemcewicz. Jan z Tęczyna. Romans histor.</i> | 1.— |
| 134. | 135. <i>Kiliński Jan. Pamiętniki</i> | 40 |

77.265

Biblioteka WSP Kielce



0176880